Wpisano do kontrolki periodyków
19 Rejonowej Wypożyczalni Książek
dla Dorosłych
Dn. 14. III 1960 r.

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok III. ŁÓDŹ, 13 marca 1960 r.

Nr 10 (106) Cena 1 zł

Tylko dla studentów III i IV roku

LONGIN PASTUSIAK

Noszenie krawatów i marynarek to święty obowiązek

Kochają się jak u nas

Uniwersytet Virginia jest starą uczelnią chociaż liczy sobie kilkaset lat mniej od naszego Uniwersytetu Jagiellońskiego. Nawet młody Uniwersytet Warszawski jest kilka lat starszy od wirgińskiej uczelni. W 1819 roku wybitny mąż stanu, architekt, pisarz, wynalazca i prezydent Stanów Zjednoczonych Tomasz Jefferson założył uniwersytet w pobliżu swej rezydencji Monticello w stanie Virginia. Od tego czasu uniwersytet rozbudował się, wieś Charlottesville urosła do rangi 30-tysięcznego miasteczka, które

Moje odkrycie AMERYKI

wchłonęło jeffersonowską rezydencję. 140 lat w skali polskiej to niedużo. Tu oznacza jednak prawie całą historię państwa, które jeszcze 200 lat temu wcale nie istniało, a dziś jest najbardziej uprzemysłowionym krajem na świecie.

Nic więc dziwnego, że

(Dalszy ciąg na str. 7)

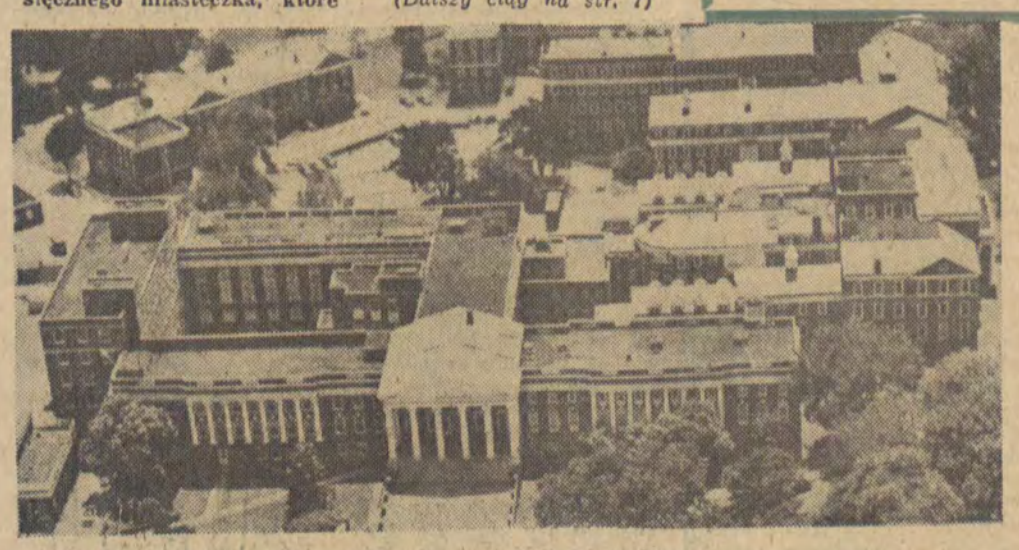

Wydział Medyczny

Czy Sodomę i Gomorę zniszczyli przybysze z Kosmosu?

O śmiałej hipotezie uczonego radzieckiego M. M. AGRESTA piszemy na str.

3 ▶

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

„Cudów nie ma" (II)

NIE MĘCZYĆ MALUCZKICH

Kornel Makuszyński powiedział kiedyś dowcipnie, że sprzeczne z regulaminem szkolnym „wagary" stanowią coś w rodzaju klapy bezpieczeństwa dla młodzieży. W tej turystyce, uprawianej podczas godzin lekcyjnych wyraża się coś, co można by nazwać instynktem samozachowawczym.

Potraktujmy słowa pisarza serio. Skąd się, u licha, taki instynkt samozachowawczy bierze, dlaczego młodzież nie słucha pana ministra, dyrektora, wychowawcy, mamusi i tatusia? A bo jest niegrzeczna — tak się zazwyczaj odpowiada — za naszych czasów młodzież była inna, bardzo grzeczna była. Prawda, że tak się odpowiada? Szczególnie współczesny tatuś lubi sobie wspomnieć lata swojej chwały. Cóż to był za uczeń! Literaturę znał na pamięć od kazań świętokrzyskich do świętokrzyskiego Stefana Żeromskiego, należał do wszystkich kółek, łącznie z piątym kółkiem u woza, nosa spoza książki nie wyściubiał, nigdy się nie spóźnił, nie wie co to ściągawka, a już wagary?! To tylko teraz, akurat właśnie teraz, taka młodzież się rodzi. Niedobra, mój Boże, jaka niedobra! Przecież nie ma dla młodego chłopca większej przyjemności, niż liczyć książęta dzielnicowe, siadać kiedy nauczyciel chce, wstawać na jego życzenie, mówić i siadać wciąż w tym samym miejscu.

No, ale to są żarty. Prawdziwe jest w tym tylko pewne zniechęcenie do szkoły, jakiś brak zapału, może nawet znudzenie, skąd się ono bierze? Jak wiadomo w Polsce obowiązuje 8-godzinny dzień pracy. A ile godzin pracuje młodzież licealna? Przeczytałem blisko dwie setki wypowiedzi licealistów na ten właśnie temat. Wynik ankiety może przerazić. Młodzież pracuje 9 godzin dziennie, a nawet 10. Przeciętna zajęć w szkole — 5 godzin, odrabianie lekcji przeciętnie 4 godziny do 5. Dziękuję, lepiej już nie można, doba za krótka. Gdybyż to — zażartujmy sobie — ów 9 godzinny dzień pracy dla młodocianych był przynajmniej dostatecznie atrakcyjny! Można by od biedy znieść w takim wypadku to oczywiste łamanie ustawy o pracy dla konstytucyjnie niedorosłych.

Każdego dnia nowa lub ta sama porcja przedmiotów, „ciężkich". A każdy z nich jest ten najważniejszy. Każdego dnia potężna dawka do odrobienia — równania z niewiadomymi, iks wzorów fizyko-chemicznych, które trzeba wkuć na pamięć i wiersz też na pamięć. Trzeba rozebrać do naga jakiś utwór, obcojęzycznego tekstu się nauczyć, kilkunastu bohaterów przyswoić i tak dalej i tak dalej, aż się te 9 godzin uzbiera.

A przedmioty „lżejsze"? Właśnie, gdzie się podziały przedmioty „lżejsze"? Dlaczego nie ma w ostatnich klasach śpiewu, zajęć praktycznych, czemuż to gimnastyka nie stanowi istotnego elementu atmosfery szkoły, lecz jest w gruncie rzeczy czymś w rodzaju popychadła? Nie mnie, zwykłego sobie publicystę, o to pytać.

U źródeł królowej Saby

Piszę o naszym liceum ogólnokształcącym, a w gruncie rzeczy mam na myśli magiel i to magiel ręczny. Jest ich w Łodzi prawie 30. Wszyscy nauczyciele z którymi rozmawiałem zgadzają się co do tego — młodzież jest przepracowana. Szkoły nie stanowią ośrodków wyżycia się chociażby w sporcie, na to nie ma czasu. Młodzież musi koniecznie znać walkę królów francuskich z wielkimi feudałami oraz kilkadziesiąt unii, aktów i statutów. Pomijam już fakt, jak bardzo są szkoły przeltoczone i duszne, jak bardzo młodzieży potrzeba ruchu. Szkoła już od lat nie pamięta co to jest muzyka, dobry śpiew. Nie chodzi nawet o funkcję wypoczynkowa takich lekcji czy konieczne przecież odprężenie, ale o to, co nazywamy wychowaniem estetycznym. Lepiej jest pożegnać szkołę polonezem niż „Czau, czau, bambina". Po co jednak śpiewać, kiedy można w to miejsce zaznajomić młodzież z ekonomią polityczną, prawda?

Jeden z nauczycieli zauważył żartem że w jego klasie nikt nie umie porządnie przybić gwoździa. Żart na pewno przesadny, ale też wyjątkowo smutny. I mieści się doskonale w tym ogólnokształcącym maglu szczebla licealnego. Budować przyrządy, pomoce naukowe, majstrować proste urządzenia techniczne, chociażby tylko kalejdoskopy, ramki do obrazów, albo flakony na kwiaty? Nie, nie, to byłaby nielojalna konkurencja wobec przemysłu państwowego, konkurencja nie do wytrzymania. Lepiej w to miejsce grzebać w narodowej rupieciarni. Zawsze się jeszcze w historii znajdzie jakaś mniej znana postać albo utwór literacki. Pojemność głowy licealisty? Zapamięta tylu aktorów filmowych i telewizyjnych obojga płci, to mu się jeszcze kilku królów, kilku wodzów i kilka utworów literackich zmieści.

Ale tu już dochodzimy do sedna sprawy — programu nauczania. Trudno wymyślić bardziej poważny program niż nasz. Trzeba to przyznać i centralnym ojcom polskiej pedagogiki i autorom podręczników. Gdyby tak młodzież wszystko umiała, co ten program przewiduje,

(Dokończenie na str. 7)

JERZY URBANKEWICZ

TELEWIZJA ŁÓDZKA *czy* darowany koń bez przyszłości?

Tytuł niniejszego artykułu jest nie tylko syntezą zawartych w nim poglądów. Jest też następstwem próżności autora, który nie chciał użyć archaicznego sformułowania: „CO ŁÓDZKI TELEWIDZ O ŁÓDZKIEJ TELEWIZJI WIEDZIEĆ POWINIEN?".

A taki tytuł byłby z pewnych względów bardziej właściwy. Bo to, co łódzki telewidz wie, lub chce wiedzieć o swojej Telewizji, jest to zespół uprawnień, jakie **ma** w stosunku do tej instytucji, lub **uważa, że ma.** Ponieważ zaś w międzyludzkich stosunkach uprawnieniom odpowiadają obowiązki, łódzki telewidz widzi po swojej stronie jeden jedyny obowiązek: płacenie 40 zł miesięcznie.

Że w rzeczywistości obowiązki te są szersze, tego dowodzi przykład innych ośrodków telewizyjnych. W Poznaniu, Katowicach czy Gdańsku, czy nawet rodzącym się obecnie Ośrodku Krakowskim powstanie telewizji było następstwem kilku czynników, wszędzie tych samych, choć — sądzić należy — nie umawiano się, że takie czynniki w grę wejść muszą. Czynniki te to: 1. Społeczna potrzeba istnienia telewizji. 2. Świadomość, że potrzebę taką zaspokaja się wysiłkiem miasta i społeczeństwa. 3. Świadomość, że telewizja to oprócz kosztownej aparatury — ludzie, którzy ostatecznie zadecydują o jakości programu. 4. Świadomość, że telewizja to żywiołowo rozwijająca się instytucja, która będzie ogólnonarodowymi płucami dla całego lokalnego zaplecza twórczego. I niewątpliwym następstwem powyższych jest czynnik 5. troska o dalszy rozwój lokalnej telewizji (oczywiście pod słowami „rozwój telewizji" rozumieć należy nie zdolność retransmitowania programu centralnego, ale własną działalność programową siłami miejscowymi).

Tak więc w Katowicach, Poznaniu i Gdańsku społeczeństwo i miasto **własnym wysiłkiem** doszły do stworzenia telewizji. Na przykład najbardziej prymitywny Ośrodek Gdański, to nienowoczesne, ale za to troskliwie wychuchane cacuszko, przedmiot dumy społeczeństwa Wybrzeża. Natomiast Telewizja Łódzka powstała z funduszów centralnych, zainteresowanie nią miasta było — jak dotąd — minimalne, a stosunek odbiorców opiera się — to wniosek z wielu listownych wypowiedzi — na opłacanym wysokim abonamencie.

Tak więc miasta tamte uznały fakt, że w tak nowej instytucji, jaka jest telewizja, pracować będą ludzie młodzi: absolwenci Szkoły Filmowej, młodzi publicyści, młody narybek techniczny. Im wszystkim przypadnie rola przyswojenia sobie nowych metod pracy w nowej instytucji, na nowej aparaturze. Ich więc egzystencja jest niezbędnym warunkiem istnienia instytucji. Stopień związania ich z telewizją będzie rzutował na jakość jej pracy. Jest to sprawa generalna „na zaś" tworzenia i preferowania twórczego środowiska telewizyjnego, a przynajmniej traktowania go na równi ze środowiskami teatralnym, muzycznym, naukowym itd.

Istnieje jednak w tym jeden moment, co do którego decyzje muszą zapaść już, dziś, bo jutro zajdą wypadki, które zaciążą na całej przyszłości Telewizji Łódzkiej.

Chodzi tu o sprawę uzupełnienia i rozszerzenia jej produkcyjnego zaplecza, inaczej mówiąc — o możliwość rozbudowy Łódzkiego Ośrodka Telewizyjnego. Stoi on w samym centrum miasta, gdzie możliwości rozbudowy w przestrzeni są znikome, ale dziś — jeszcze są. Zrealizowanie zaś planów urbanistycznych w tej części miasta zaciągnie pętlę, z której wyplątanie stanie się niemożliwe. I w warunkach rozwijającej się telewizji w całej Polsce, za kilka lat nasze — dziś duże — studio stanie się nic nie znaczącą placówką wobec rosnących innych ośrodków. Wówczas rola Łodzi jako kulturalnej prowincji, nie liczącej się na rynku ogólnopolskim stanie się chyba faktem, a naprawienie błędu będzie możliwe tylko za pomocą... nowego ośrodka, na co sobie chyba prędko nie pozwolimy.

Ocena istniejących urządzeń telewizyjnych zmienia się szybko. Miniaturowe studio, jakie mieliśmy na XIV piętrze wieżowca było przed trzema laty dumą Łodzi, przed dwoma laty — utrapieniem. Nowe studio straciło już urok nowości, nie ma bowiem niezbędnego zaplecza w postaci pracowni dekoracji i magazynów, a jednoczesne przygotowywanie dwóch lub więcej programów natrafia na wielkie trudności.

Telewizje całego świata budują centra nadawcze o siedmiu — dziesięciu studiach z potężnym zapleczem. Podobne centrum stanie w najbliższych latach w Warszawie.

Czym wówczas będzie Łódzki Ośrodek Telewizyjny, oparty na przerobionym ze... stołówki pracowniczej studiu?

Perspektywy rozwoju, lub groźba, że utkniemy w rozwoju, przedstawiają się następująco:

Ul. Narutowicza na odcinku między Piotrkowską a Sienkiewicza zmieni zupełnie wygląd. Budynki, ograniczające ją od południa (na linii oznaczonej na planie literami E) zostaną wyburzone i w ten sposób wieżowiec (A) oraz oficyna zajmowana dziś przez Zakład Sieci Elektrycznych (D) staną się południową ścianę ul. Narutowicza. Spowoduje to oczywiście rozszerzenie zarówno jezdni jak i chodników, umożliwi nowe rozwiązania skrzyżowań z ul. Wschodnią i Sienkiewicza, w tej chwili bardzo niewygodne i niebezpieczne. Zburzenie domków przy rogu ulic Sienkiewicza i Narutowicza odsłoni wieżowiec i stworzy duży plac przed Filharmonią. Ul. Wschodnia zyska przedłużenie w obejździe wokół wieżowca. Należy podkreślić, że projekt ten opracowany przez inż. Wacława Balda, zostanie częściowo zrealizowany już w bieżącym roku.

W tak pomyślanym planie przebudowy omawianego rejonu Łodzi wieżowiec, mieszczący Telewizję, przylega z dwóch stron do ulic Sienkiewicza i Narutowicza, jeden jego bok opiera się o sąsiedni budynek (C), wychodzący frontową ścianą na ul. Sienkiewicza i tylko jedna strona nastręcza możliwości rozbudowy. Chodzi tu o przestrzeń pomiędzy wieżowcem a podwórzami domów przy ul. Piotrkowskiej (F).

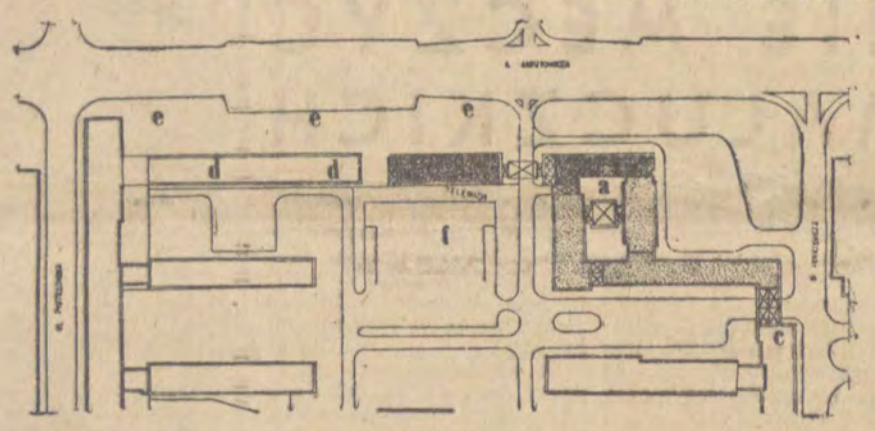

Jest rzeczą oczywistą, że wnętrze wieżowca nie może być terenem ekspansji (poza wyjątkiem, który zostanie omówiony niżej).

Toteż w tym miejscu wypada sobie pozwolić na sformułowanie wynikające ze wstępnej części niniejszego artykułu, będące — być może — przepowiednią, ale przepowiednią bardzo uzasadnioną. Przyszłość Telewizji Łódzkiej czyli okna Łodzi na całą Polskę zależeć będzie od decyzji, czy omawiany placyk (F) oddany zostanie na potrzeby Telewizji, czy też komu innemu. Ta druga ewentualność będzie się równała skazaniu Telewizji na uduszenie się we własnej ciasnocie zwłaszcza wobec — jak to już podkreślono — rozwoju innych ośrodków a zwłaszcza warszawskiego.

Decyzje dotyczące przeznaczenia placu były różne. W okresie organizowania Ośrodka Telewizyjnego planowano oddanie go Telewizji. Później miało tu powstać przedsiębiorstwo transportowe. Następnie chciano tu zlokalizować hotel. Wreszcie wysunięto myśl, że wieżowiec powinien być odsłonięty, tzn. że dokoła należy zostawić wolną przestrzeń.

Tak więc w planach ewentualnej rozbudowy Telewizji trzeba wziąć pod uwagę jeszcze jeden istotny czynnik, jakim jest estetyka miasta. Na szczęście Pracownia Urbanistyczna Wydziału Architektury i Nadzoru Budowlanego nie widzi tu trudności. Inżynier Eugeniusz Budlewski uznał za całkowicie zgodne z założeniami planu, a nawet pożądane wzniesienie budynku, o jakim marzy Telewizja (B). Budynek ten wzniesiony na jednej linii z częścią wieżowca zajmowaną obecnie przez Telewizję i z oficyną Zakładu Sieci Elektrycznych miałby 4 piętra rozplanowane następująco. W pomieszczeniach piwnicznych — magazyny materiałowe i dekoracji. Parter — duża kawiarnia publiczna, wyposażona w urządzenia do nadawania z niej programu telewizyjnego. I piętro — duża sala prób, montażownia, taśmoteka, filmoteka. II piętro — pomieszczenia redakcji programowych, administracji i kierownictwa. I wreszcie III i IV piętro — mieszkania pracownicze i pokoje gościnne.

Zrealizowanie powyższego projektu załatwiłoby wiele nie załatwionych dotąd spraw. Wśród nich bardzo istotne to kawiarnia i możliwość stworzenia drugiego studia.

Kawiarnia, to nie tylko możliwość odciążenia przepełnionych innych kawiarni. Nie zapominajmy, że Telewizja Łódzka nie ma wozu transmisyjnego. Stąd transmitowanie imprez estradowych, koncertów i urządzanie quizów jest dotąd w Łodzi niemożliwe. Powstanie kawiarni w zasięgu naszej aparatury pozwoli zmienić tę sytuację i przynajmniej w pewnej mierze uniezależnić się od wozu transmisyjnego.

Powstanie tego budynku pozwoli na dokonanie pewnych przesunięć w już istniejących pomieszczeniach Telewizji, w wyniku czego obecna pracownia malarska i skład dekoracji (bardzo nieodpowiednie) zostaną minimalnym nakładem kosztów zamienione na drugie studio.

W ten sposób inwestycja ta może postawić Łódzki Ośrodek Telewizyjny na drugim miejscu po mającym powstać centrum telewizyjnym w Warszawie. Byłby to Ośrodek wyposażony w dwa studia i zaplecze umożliwiające codzienny obszerny program. Stworzyłoby to sytuację, w której można by się domagać właściwego udziału naszego miasta w programie ogólnopolskim, co odpowiada — jak stwierdzono wyżej — żywotnym interesom całej kulturalnej Łodzi.

Do tej chwili zarejestrowano w naszym mieście 20 tysięcy telewizorów. Przy dotychczasowym tempie rozwoju — za rok będzie ich 40 tysięcy. Należy tę liczbę pomnożyć przez 4 lub 5, aby otrzymać ilość rzeczywistych odbiorców programu telewizyjnego. Wśród nich znajdziemy przedstawicieli wszystkich łódzkich środowisk, zdolnych wywrzeć wpływ, aby omówione tu projekty zostały zrealizowane, aby nie przegapić ostatniej chwili, decydującej o losach Łódzkiej Telewizji.

Nasza szkółka

Słoń a sprawa polska

I oto przyszło mi z rozrzewnieniem i niejakim sentymentem wspominać zapomniane już praktyki lat minionych, kiedy to w aurze rewolucyjnej pryncypialności i swoistej purytańskiej reglamentacji prasowych wiadomości na łamy gazet nie przenikały wiadomości o małżeństwach czy rozwodach Soray a nawet jakichś tam trzęsieniach ziemi, gdyż informacje tego typu „nie pomagały w budowie socjalizmu". Odruchowi tego pożałowania godnego sentymentu ulegliem, czytając wiadomości o zaręczynach panny Linartas.

Sprawa jest z pozoru nie pierwszej świeżości. Obiegła ona prasę kilka tygodni temu. Wróci ona jednak lada dzień na łamy, ba! Grozi nam święto narodowe z okazji ślubu, który ma się odbyć w Koszęcinie.

Odpukuję więc niniejszym w niemalowane drzewo rozmieniając te czynność na dłuższy wywód.

Fakty: chórzystka ze „Śląska" zaręczyła się z wnukiem eks-prezydenta Meksyku. Z tej okazji cała prasa polska podała ową wiadomość, często na czołowych miejscach, zamówiła rozmowy z Meksykiem, a przedstawiciel katowickiego organu KW PZPR — „Trybuny Robotniczej" pognał rozmawiać z rodziną dziewczyny, dowiedzieć się, o jej cnotach w Koszęcinie itd. Potem mieliśmy zdjęcia panny Linartas z nagłówkami: „Szczęśliwa narzeczona wśród kwiatów" itd.

To, że dziewczyna zaręczyła się z Meksykańczykiem, szczególnie zaś takim, którego dziadek kilkadziesiąt lat temu był prezydentem, warte jest, moim zdaniem, prasowej wzmianki. Natomiast niby dlaczego jubel, krzyk, radość, obleganie rodziców i znajomych chórzystki? Materiały prasowe wyjaśniają nam to dokładnie, informując, że pan Calles, ów wnuk eks-prezydenta jest jednym z najbogatszych ludzi w Meksyku.

Uważam, że na tym świecie jest bardzo miłą rzeczą złapać bogatego męża. I z niesmakiem bym przeczytał, gdyby ktoś czynił z tej racji jakieś ironiczne uwagi pod adresem panny Andrany Linartas lub czyimkolwiek innym, niezależnie od tego czy ów ktoś łanie sobie bogatego męża z najszczerszej miłości do niego, czy tylko do forsy. Natomiast wzbudza i zdziwienie i niesmak, gdy prasa kraju socjalistycznego robi na tym tle szum. Po prostu dlatego, że jest to nolens volens lansowaniem pewnego wzoru wychowawczego.

W sprawie mariażu Linartas prasa wykazała maksimum bezmyślności. W sumie: duży niesmak.

Mechanizmem psychologicznym, który doprowadził do uczynienia z zaręczyn jednej polskiej panny z jednym meksykańskim gościem z forsą — narodowego jubilu jest widzenie rzeczy oddzielnie: tu koń, tu słoń, tu pociąg. Czyli tu oficjalna doktryna, ideologia itd. a tu pokupna sensacyjka. Niedostrzeganie współzwiązku między klawiszami różnego kalibru, w które uderza propaganda. Ale również zaważył tu brak poczucia proporcji. Wada dosyć powszechna.

Gdyby jakaś francuska chórzystka zaręczyła się z meksykańskim bogaczem, tam rzecz doczekałaby się ledwie wzmianki w prasie. Co prawda z innych stałoby się to powodów. Tam mają księżne Monaco i cesarzowe irańskie do robienia sensacji i rozpalania wyobraźni podlotków.

Nasz brak wyczucia proporcji przejawia się co krok. Sięgnę dla ilustracji do dwóch pierwszych z brzegu wiadomości wyczytanych w gazetach.

Podobno nasze nowe statki mają otrzymać imiona polskich muzyków: Chopina Moniuszki, Szymanowskiego i Paderewskiego. Ładnie. Dotychczas „Chopin" łowił u nas śledzie, niech teraz jego imiennik wozi rudę. Nazwiska te znane są w całym świecie i stanowią jakąś polską wizytówkę. Następny spośród statków ma otrzymać nazwę „Sygietyński".

Jak wiadomo, Sygietyński zawsze był na pewno dobrym kompozytorem lekkich piosenek, a po wojnie zorganizował znakomity w swoim rodzaju zespół chóralno-taneczny „Mazowsze" i opracował dlań szereg popularnych dziś melodii, będących stylizacją autentycznych ludowych motywów muzycznych. Do Chopina, Szymanowskiego i Paderewskiego ma się wszakże twórca „Mazowsza" tak jak Dolega Mostowicz do Tomasza Manna.

Nie protestuję tu nawet przeciwko nazywaniu statku imieniem Sygietyńskiego. Zadziwia mnie tylko owo zestawienie. Ów brak poczucia proporcji. Ponieważ mam nawet duży szacunek dla Sygietyńskiego nie zestawiałbym go z Chopinem, bo brzmi to ironicznie. Czyli następuje odwrócenie zamierzonego efektu.

Ów brak poczucia proporcji udało się już naszej prasie zaszczepić i czytelnikom.

Krakowskie „Zdarzenia" ogłosiły wśród czytelników plebiscyt, którego celem było wyłonienie najlepszego piosenkarza (piosenkarki) świata. I oto wyniki: I miejsce — Przybylska, II — Polomski, III — Fogg, IV — Gniatkowski, na piąte zasłużyła już Eartha Kitt, po niej Armstrong, dogania go Zylska, która wyprzedza wszakże Montanda, po nim Koterbska, za nią Tino Rossi.

Ów przywilej absurdalnie najwyższego uprzywilejowania Polaków ma przyczyny bardziej pewno złożone niż sam tylko brak poczucia proporcji. Sporo tu i narodowej megalomanii. Ale konsekwentny ciąg zatracenia poczucia proporcji uderza coraz częściej i w każdej dziedzinie.

Oczywiście, od casusu panny Linartas nie zawali się deklaracja ideowo-programowa ZMS, M/S „Chopin" nie pójdzie na dno ze złości na „Sygietyńskiego", co najwyżej Armstrong pęknie ze śmiechu, o ile się kiedykolwiek dowie o głupstwie „Zdarzeń". Ale gdy pominiemy sens konkretnych śmieszności, zdolność odróżniania muchy od słonia i widzenia występujących między rzeczami i pojęciami współzwiązków — jest ważna. M. in. odróżnia bowiem człowieka od małpy. Co dotyczy nie tylko pojedynczych egzemplarzy obu gatunków, ale również małpich i ludzkich zbiorowości.

BELFER

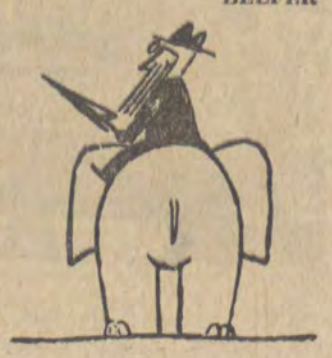

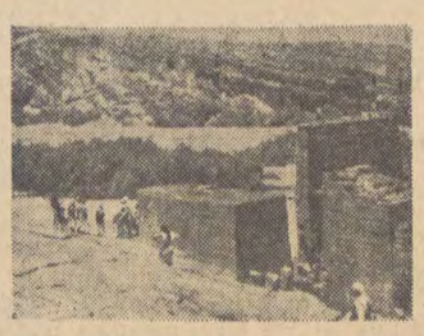

Szczątki tamy

Kolumny świątyni boga Księżyca

Najstarszy uśmiech świata. Rzeźby ze świątyni Bilkis

Czy Sodomę i Gomorę zniszczyli przybysze z kosmosu?

ŚMIAŁA HIPOTEZA RADZIECKIEGO UCZONEGO M·M·AGRESTA

Pod koniec ubiegłego roku zapoczątkowane zostały archeologiczne badania w rejonie Morza Martwego. Pod jego wodami widać ruiny zaginionych biblijnych miast — Sodomy i Gomory. Zagadkowa tragedia tych bogatych i potężnie umocnionych miast kananickich pasjonowała od dawna uczonych różnych specjalności. Interesował się nią już wybitny geograf grecki Strabon (63 p.n.e. — 25 n.e.). Pisze on: *„Można wierzyć tradycji mieszkańców, że w kraju tym kwitło niegdyś trzynaście miast, z jego stolicy Sodomy ostało się podobno obwałowanie. Mówi się, że na skutek wielkiego trzęsienia ziemi połączonego z wybuchami ognia spiętrzyły się morze i wody o silnej zawarości siarki, a skały ogarnął płomień. Miasta częściowo zatonęły, częściowo zaś zostały opuszczone przez uciekających w popłochu mieszkańców"*.[1])

Jak stwierdzają geologowie, dolina Jordanu i głęboka na 746 m depresja Morza Martwego powstały w trzeciorzędzie, jednakże ostatnie, interesujące nas obsunięcie się gruntu wystąpiło w początkach drugiego tysiąclecia przed naszą erą. Teren jest wulkaniczny, lecz przynajmniej w przeciągu dziesięciu tysięcy lat wybuchu wulkanu w tych okolicach nie było. Czemu więc przypisać wspomniany w księdze Genesis ogromny słup dymu, który stanął nad miastem i na który obejrzawszy się, skamieniała żona Lota?

Biblia podaje, że był to wynik interwencji boskiej wywołanej wołającą o pomstę do nieba rozwiązłością Sodomitów. Tak się istotnie mogło wydawać Żydom, plemieniu prymitywnych jeszcze koczowników, których gorszyły obyczaje, kulturalnie stojących zresztą znacznie wyżej autochtonów. Kananejczycy wyznawali mianowicie kult bogini płodności. W jej świątyniach uprawiano misteria powiązane z popularną wśród wielu ludów Wschodu rytualną prostytucją. Taka to była wówczas „służba boża".

Wiadomo z Biblii, że przed katastrofą boscy posłannicy ostrzegli Lota i kazali mu uchodzić w góry. Lot nie zatrzymał się więc w pobliskim, maleńkim Zoar, jak pierwotnie zamierzał, lecz kiedy przyszła pierwsza fala eksplozji, powędrował dalej i dzięki temu ocalał.

„I odwrócił do góry dnem miasta wraz z całą okolicą wszystkimi mieszkańcami i wszystkim, co rosło na ziemi."

Podania można interpretować rozmaicie. Ostatnie sukcesy nauki i techniki, zwiększając wybitnie władzę człowieka nad przyrodą, pozwalają naukowym fantastom snuć śmiałe przypuszczenia, dotyczące nie tylko przyszłości, ale i zamierzchłych dziejów naszej planety. Snują je więc pisarze uprawiający modny gatunek science-fiction, ale również sami uczeni zdobywają się na hipotezy balansujące na krawędzi między intuicją naukową a czystą fantazją.

— *Jeżeli* — powiada radziecki kandydat nauk matematyczno-fizycznych M. M. Agrest — *nauka otwiera przed człowiekiem oszałamiające perspektywy podróży kosmicznych, należy przypuścić że mieszkańcy dalekich globów także mogą zdobyć się na podobne wyczyny. Istnieje więc możliwość że w przeszłości nawiedzili ziemię astronauci z innych planet naszego układu słonecznego lub nawet innych galaktyk. Czy nie mogło się zdarzyć, że Sodoma zginęła na skutek wybuchu atomowego, będące go ich właśnie dziełem?*

— Przełóżmy podanie na język współczesny. Goście z kosmosu, posiadający nieporównanie wyższą kulturę od Ziemian i dysponujący ogromną potęgą, wydali się lud iom starożytnym wysłannikami bogów. Przecież tak samo, po wielu wiekach, peruwiańscy Indianie traktowali jak bogów hiszpańskich konkwistadorów. Przed odlotem astronauci postanowili zniszczyć nadmiar paliwa nuklearnego i uprzedzili okolicznych mieszkańców, by opuścili niebezpieczny rejon. Kazano im skryć się w góry i nie oglądać, by nie oślepli. Wybuchowi, który potem nastąpił, towarzyszył charakterystyczny słup dymu. Ziemia kwitnąca dawniej i urocza, zamieniła się w bezpłodną pustynię. Wydarzenia takie, wstrząsnąwszy umysłami świadków, musiały się później wyrazić w podaniach Kananejczyków i Izraelitów.

Radziecki uczony rozwija dalej swoją teorię i szuka dalszych dowodów. Prześledźmy jego rozważania zreferowane w jednym z lutowych numerów „Literaturnoj Gaziety".

W tymże rejonie Morza Martwego, w jednej z pieczar pewien arabski pasterz odnalazł w 1947 roku mnóstwo skorup oraz sporo całych garnków. Naczynia wypełnione były skórzanymi zwojami pokrytymi niezrozumiałym pismem. Archeologowie odkryli później znacznie więcej tych rękopisów zwanych manuskryptami z Qumran.

Historycy wiedzą, że dawne pomniki piśmiennictwa, oczyszczone z legendarnych i religijnych nawarstwień, zawierać mogą cenne dane o wydarzeniach starożytności. Dogłębna znajomość dzieł Homera i mitów greckich pozwoliły, na przykład, Schliemannowi odkryć ruiny starożytnej Troi. Manuskrypty z Qumran pochodzące sprzed dwóch tysięcy lat zawierają między innym teksty z pierwszych ksiąg Biblii — najstarsze z zachowanych a przepisane z jeszcze starszych zapisków. Wiadomo, że kapłani żydowscy wnieśli do swoich świętych ksiąg wszystkie znane im podania i legendy. Tam właśnie znajdujemy wzmiankę o istotach, które opuściły się z nieba, jak również o ludziach, których wzięto żywcem do nieba, w owe dni kiedy pojawili się na ziemi „synowie boga".

„I prawował się Enoch z Bogiem... i wziął go Bóg".

W niewielkiej stosunkowo odległości od „ziemi judzkiej", na zboczach Antylibanu, w Baalbek, antycznym Heliopolis, znajduje się jedna z najbardziej zagadkowych budowli starożytności. Jest to ogromna terasa kamienna o wymiarach 325 na 97 metrów, zbudowana z wielkich ociosanych bloków z wapienia lub marmuru. Największe z nich mierzą ponad 19 metrów długości, na cztery szerokości i wysokości i ważą ponad dwa tysiące ton każdy. Kiedy wzniesiono ten masyw nie wiadomo, ale wspominają o nim już wojskowe sprawozdania egipskie i staroassyryjskie. Nikt również nie dał zadowalającej odpowiedzi, w jakim celu powstało to niesłychane urządzenie.

— Czy nie mogło być tak? — pyta radziecki uczony. Pragnąc dokonać lotu na inne planety systemu słonecznego, czy też dostać się na swój statek kosmiczny, który zawisł nad ziemią jako chwilowy sztuczny satelita, słowem, traktując ziemię jako bazę wypadową, musieli astronauci zbudować pole startowe. Czy terasa w Baalbek nie mogła być takim rakietodromem? A może po prostu wznieśli ją na pamiątkę swego pobytu na naszej planecie. Należy przy tym zważyć, że budowla znajduje się nie tak znowu daleko od pustyni libijskiej.

Pustynię tę charakteryzuje nagromadzenie bardzo ciekawych i zagadkowych szklistych struktur geologicznych, tak zwanych tektytów, gdzie indziej niemal niespotykanych. Pochodzenia tektytów nie umieją uczeni wyjaśnić. Nie są to meteoryty, bo byłyby rozsiane mniej więcej równomiernie po powierzchni ziemi.

W tektytach odnaleziono radioaktywne izotopy aluminium i berylu. Izotypy radioaktywne stanowią rodzaj metryki, świadczą, że formacje owe powstały najwyżej przed milionem lat, a więc pojawiły się, kiedy ziemia — która liczy lat miliardy — była już uformowana. W dodatku musiały powstać w warunkach bardzo wysokiej temperatury i mocnego promieniowania radioaktywnego.

Niektórzy uczeni sądzą, że tektyty są pochodzenia międzygwiezdnego. Inni przypuszczają, że powstały przy zetknięciu ziemi z głowicą jakiejś komety. Jeszcze inni, że jakiś wielki meteor zderzył się z Księżycem i że są to odpryski Księżyca, które, niejako rykoszetem, spadły na Ziemię. Żadna jednak z owych hipotez nie tłumaczy zagadkowych właściwości tektytów, ani ich szczególnej koncentracji w pewnych rejonach.

— A może było tak? Gigantyczny statek z kosmosu zbliżył się do Ziemi. W przestworzach międzygwiezdnych poruszał się z szybkością światła, ale w odległości około 40 tysięcy kilometrów od Ziemi zmniejszył szybkość do trzech kilometrów na sekundę i wyłączywszy silniki zawisł nad planetą jak sztuczny satelita z okresem obiegu równym jednej dobie. Takie położenie pozwalało statkowi nie tracić energii i przez dłuższy czas utrzymywać się nad określonym punktem kuli ziemskiej. Z tej pozycji astronauci badali powierzchnię Ziemi i atmosferę przy pomocy specjalnych pocisków-sond, by dopiero później wylądować. Czy tektyty nie mogą być śladami upadku owych sond na ziemię?

Zauważono dawno, że niektóre wiadomości o ciałach niebieskich znane były ludziom wcześniej niż pojawiły się instrumenty, które by mogły takich danych dostarczyć. I tak Jonatan Swift (1667—1745) opisał szczególne właściwości satelitów Marsa, chociaż księżyce te odkryte zostały dopiero w 1887 roku. Owe maleńkie „sputniki" znajdują się tak blisko macierzystej planety, że obserwować je można tylko przy pomocy bardzo silnych teleskopów, jakich w tamtych latach nie było.

Podobne „niezgodności" tak zdumiewały uczonych, że wysunęli hipotezę o istnieniu w starożytności jakiegoś ludu posiadającego niewiarygodną znajomość astronomii. Lud zniknął, ale wiedza miała się przechować przez wieki. O takiej możliwości wspominał między innymi wielki niemiecki matematyk i astronom Karol Gauss (1777—1855). Jednakże historycy nic o takim narodzie nie wiedzą.

Czy nie mogło być tak, że astronauci próbowali przekazać ludziom swoją wiedzę? Przy niskiej kulturze ówczesnego społeczeństwa ziemskiego była to jednak wiedza niemożliwa do przyswojenia. Zachowały się jedynie wiadomości z astronomii, ponieważ nawet najprymitywniejsi koczownicy interesowali się gwiazdami, według których orientowali się w terenie. Dane astronomiczne pieczołowicie przekazywano z pokolenia w pokolenie i przetrwały. Czy zatem odkrycia Swifta i jemu podobnych nie są świadectwem umiejętności nabytych od przybyszów z Kosmosu?

By odpowiedzieć na wszystkie te pytania potrzeba wspólnych badań archeologów, fizyków, radiochemików. Być może uda się im znaleźć nowy sens w dawnych rękopisach. Być może odkryją radioaktywne izotopy, które wskażą czas i miejsce dokonanego w przeszłości wybuchu atomowego lub pracy silników jądrowych. Być może uczeni dowiodą, że ani jedna z dotychczasowych zagadek nie jest związana z nawiedzeniem Ziemi przez podróżnych z kosmosu, a jednocześnie wymienią dziesiątki nowych ciekawych zjawisk. Warto to zbadać, choćby dlatego, by dowieść, że nasze przekonania o możliwościach lotów międzygwiezdnych są słuszne.

Gdyby jednak przyjąć hipotezę radzieckiego uczonego o wizycie nieziemskich gości, powstaje pytanie, dlaczego nie było od tamtych lat powtórnych przylotów.

Na pytanie to M. Agrest odpowiada, że gdyby owi przybysze pochodzili z jednej z planet naszego układu, istotnie sprawa wyglądałaby dziwnie. Jednakże dla mieszkańców dalekich regionów wszechświata Ziemia nasza jest tylko jedną z mnóstwa ewentualnie zaludnionych planet. Prócz tego trzeba pamiętać, że — zgodnie z teorią względności — czas na ultraszybkiej rakiecie płynie o wiele wolniej niż na Ziemi. I jeśli macierzysta planeta owych domniemanych astronautów znajduje się w układzie którejś z dalekich galaktyk, opuściwszy nasz glob przed tysiącami lat — według ziemskiej rachuby — oni wciąż jeszcze wracają do domu.

Opracował H. O.

[1]) cyt. wg H. i G. Schweiberi — Zaginione miasta.

CARLO GOZZI

KRUK

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

Dozwolone do lat 18

Był sobie król, czy nie tak powinna zaczynać się baśń? Posłuchajcie więc: był sobie król, miał brata, na imię mu było Gennaro. Ten król — słuchajcie — pojechał razu pewnego na polowanie i zabił kruka, a kruk — czy słuchacie? — był przyjacielem groźnego olbrzyma. Olbrzym przeklął zabójcę i przepowiedział, że umrze on w szaleństwie, jeśli nie znajdzie dziewczyny, której włosy będą tak czarne — słuchajcie, słuchajcie — jak pióra kruka, a usta tak czerwone jak krew kruka, a płeć tak biała, jak marmur grobowca, na który upadł zabity kruk. A dobry brat króla, Gennaro, odnalazł w kraju dalekim ową dziewczynę, na imię jej było Armilla. Ojciec Armilii — czy słuchacie uważnie? — czarownik Norando, kiedy dowiedział się... dość. To już wolę bajkę o krasnoludkach i sierotce Marysi, albo te o Janku, co psom szył buty. Bo z nich przynajmniej w sensie dydaktycznym coś wynika (a raczej: niegdyś wynikało), a z fabuły, opowiedzianej w „Kruku" przez Gozziego — a tutaj nieudolnie i ułamkowo streszczonej — nie wynika, ani w sensie dydaktycznym, ani artystycznym, nic. To już wolę Andersena, Brzechwę, Marię Kownacką. To już Goldoniego nawet wolę. Goldoniego, który, jak wiadomo, przyjacielem Gozziego nie był. Wolę Goldoniego, nie opowiada bajek, a — podobnie jak Gozzi — dopuszcza w teatrze wypinanie tyłka, szczypanie w tyłek i kopanie w tyłek, a także stawanie na głowie i bicie pałką po głowie, czyli to wszystko, co nie jest teatrem, bo jest cyrkiem, a co przecież teatrem być może. Takich jak opisane, a i innych prześmiesznych figli i grymasów, tak u Goldoniego, jak i u Gozziego napatrzyć się można dowoli. Nie ma natomiast u Goldoniego owej fascynacji tym, co tajemne i niezbadane, a co w gruncie rzeczy i zbadane i jawne. To zresztą, że Gozzi był zafascynowany światem nadprzyrodzonych intryg i intryżek, można zrozumieć. Żył przecież w wieku apodyktycznego władztwa rozumu i mógł nie czuć zaufania — ta odwieczna przebiegłość artystów! — do szkiełka i oka. Przypuszczam, że traktował nadprzyrodzone przygody swych bohaterów ze śmiertelną powagą i gdyby za jego życia danym mu było ujrzeć wypełzającego w „Kruku" na scenę śmiesznego smoka, rodem z podkrakowskiej baśni, bardzo by się zgorszył. Nie wiemy zresztą, czy Gozzi wierzył w smoki, na to pytanie, być może, dadzą odpowiedź historycy literatury. Przypuszczam, że wierzył i wcale mu się nie dziwię. Podobnie, jak nie zdziwiłbym się, gdybym się dowiedział, że Jerzy Harasymowicz wierzy w pozagrobowe życie kotów i czerwonych gili. Wszystko jest możliwe, a umiejętność zachowania odrobiny bezrozumnej wiary w działanie Sił w epoce „science-fiction" i powieści kryminalnej zasługuje, być może, na pochwałę. A na pewno godna jest zastanowienia. Trudno jednak pogodzić się z faktem, że w smoki wierzy (nagle uwierzył?) reżyser i inscenizator „Kruka", Kazimierz Dejmek. Może zresztą nie w smoki bo smok był, jak powiedziałem, bardzo zabawny. Zabawny nie był natomiast ani król Frattombrozy, Milon, ani jego brat, Gennaro, ani Armilla, księżniczka Damaszku. Milon był surowy i gwałtowny, Armilla ckliwa i wierna aż do śmierci. A Gennaro? Gennaro był, ach, rozdarty. Kazimierz Dejmek potraktował serio tajemnicze Siły popychające do działania postaci „Kruka". Zawierzył Gozziemu, uwierzył w oczyszczającą — czy tak? — siłę baśni.

Tak powstał, rzec można, spektakl dla młodzieży do lat osiemnastu. Ponieważ jednak trudno przypuszczać, by młodzież do lat osiemnastu (przynajmniej ta młodzież z „Honoratki" i z „Largactilu") wierzyła w Siły i — co najmniej prawdopodobne — w baśniowe, a więc bezkompromisowe, rozróżnienie dobra i zła, granicę wieku należałoby obniżyć. I to chyba znacznie.

Oczywiście, tu może mi być zarzucone, że nie rozumiem konwencji. Albo że nie czuję konwencji. Być może. „Kruk" został wystawiony tylko po to, byśmy mogli obejrzeć znakomicie zrealizowaną konwencję. Muszę więc powiedzieć, że konwencję rozumiem i czuję — niestety, to wyznanie trzeba przyjąć na słowo — wiem co baśń, a co bajka, wiem, kto był Gozzi, a kto Konopnicka, czytałem nawet Andersena i płakałem nad losami wspomnianej tu już sierotki Marysi. Ale to było bardzo dawno temu. Dziś chętniej czytuję braci Grimm, bo bracia Grimm są okrutni i głupi.

Widz, pozwalam sobie przypuszczać, nie lubi dydaktyzmu (naiwnego) w sztuce, baśń Gozziego nie ma na pewno żadnych walorów dydaktycznych. Może kiedyś miała, dziś nie ma, dziś walory dydaktyczne mają bracia Grimm. Z przedstawienia na scenie poświęceń braterskich żadne pouczenie moralne dla współczesnego widza nie wynika. Czy brak walorów dydaktycznych oznacza jednak, że „Kruk" powinien się podobać współczesnemu widzowi? Może się zresztą i będzie podobać, muzyka Szymanowskiego jest bardzo piękna, kostiumy Zenobiusza Strzeleckiego ładne, a jego scenografia choć brzydka (ten park, ta baszta, jak ze szkolnego przedstawienia dla nauczycieli i rodziców!) jest kolorowa, a widz lubi teatr kolorowy. Więc może „Kruk" będzie się podobać. Ja jednak wolałbym zobaczyć Gozziego w teatrze kukiełek. Tam jest jego miejsce, bo dopiero tam ta baśń nabrałaby sensu; mówiąc jaśniej, jej bezsens, ujawniony przez kukiełki, mógłby zostać z pożytkiem dla współczesnego widza ośmieszony. Bo Gozziego nie można traktować serio, wiedział o tym coś niecoś Eugeniusz Kamiński, który nie zaryzykował przydawania gwałtownym wyrokom Norando motywacji psychologicznej i nieśmiało — ale zbyt nieśmiało — próbował kpić z wyroków Sił. Niestety, i Mieczysław Voit (Milon), i Michał Pawlicki (Gennaro) zapomnieli, że mają do czynienia z naiwną baśnią. Grali Szekspira. Cóż z tego, jeśli powiem, że grali go dobrze?

Nie namawiałbym zresztą do zbyt srogiego ośmieszania postaci tak szlachetnych jak Gennaro i uczuć tak wzniosłych jak miłość braterska. Ośmiesza je i tak dostatecznie — chwała za to Gozziemu i aktorom Teatru Nowego! — obecność na scenie ministrów króla Milona (znakomity Edward Wichura) i Smeraldiny (równie znakomita Bohdana Majda). Niewielka dawka liryzmu w przedstawieniu głównych bohaterów „Kruka" jest, oczywiście, konieczna. Powiedzmy, ta dawka liryzmu, która aplikuja swoim śmiesznym przecież kukłom Lidia Mintycz czy Tadeusz Mikulski. Niestety, ani Voit, ani Pawlicki w konwencji teatru kukiełek się nie mieszczą. Trudno mieć o to do nich pretensje, czekają przecież na role w „Hamlecie", są aktorami serio, ani parodia, ani groteska nie wydają się ich interesować.

Propozycja moja jest zupełnie poważna. To bodajże łódzki „Arlekin" wystawił w swoim czasie Moliera, dlaczegóż nie miałby pokazać również i Gozziego? A gdyby Gozziego zaprezentował nam teatr lalek, w Teatrze Nowym moglibyśmy wtedy zobaczyć jakąś baśń współczesną. Na przykład Szekspira. Albo parodię baśni. Na przykład pióra owego Witolda Gombrowicza, który, jak wiadomo, genialnym parodystą geniuszu Szekspira jest.

* * *

To wszystko, co napisałem powyżej, wbrew sobie napisałem. Ubóstwiam bowiem czysta sztukę teatru i ubóstwiam owe zdanie Witkacego, zaczynające się od słów:

„Nienawidząc współczesnego teatru we wszystkich jego odmianach..."

Witkacy, jak to już dziś wszystkim — nareszcie! — wiadomo, stworzył teorie spektaklu teatralnego, który nie mając odnośników w świecie rzeczywistym, prezentowałby zamknięty cykl skojarzeń artysty. Spektakl Gozziego w Teatrze Nowym jest próbą zignorowania rzeczywistości. I jest też (gdyby tylko nie tych kilka złośliwości, wypowiedzianych przez aktorów pod adresem ministrów i krytyków teatralnych!) prezentacja czystej sztuki teatru. Szczęśliwy Witkacy! Nigdy nie oglądał czystego teatru! Gdyby go zobaczył, powiedziałby zapewne: „Wolę Goldoniego, jest prostszy, nie opowiada bajek, pokazuje kawałek życia, a potem mówi: a teraz będzie kopanie w tyłek, czyli teatr czysty".

Państwowy Teatr Nowy Carlo Gozzi. „Kruk". Przekład Jerzego Jędrzejewicza. Reż. Kazimierz Dejmek, scenografia Zenobiusz Strzelecki.

Ludzie i technika szpiegostwa

Już starożytni...

czyli

Nihil novi sub sole

Mohara — tak zwali się pierwsi w historii szefowie wywiadów wojskowych. Rola ich wykraczała poza zbieranie wiadomości, nierzadko występowali oni także w charakterze organizatorów dywersji, jakby to określić nieco szumnie... strategicznej. Tak np. sprytny Thutr podczas wojny z Fenicją zdołał wpakować do transportu maki, którą dostarczano morzem, dwunastu swoich agentów, doskonale uzbrojonych. Twierdza, na której miejscu istnieje dzisiejsza Jaffa, została przez nich w nocy opanowana. Załoga przy bramach wybita do nogi. Egipcjanie wdarli się do miasta i zwyczajem starożytnym urządzili straszliwą rzeź.

Podobnie, choć w nieco większym stylu, dywersję zastosował król perski — Dariusz. Oblegając w latach 520—519 przed naszą erą Babilon, nie mógł sobie dać rady z świetnie obwarowaną twierdzą. Wysłał więc swego zaufanego — Zofirosa, który pozorując chęć zemsty na królu Dariuszu za doznane od niego krzywdy, dając się nawet w czasie „ucieczki" z obozu perskiego zranić, wkradł się w zaufanie babilończyków. Powierzyli mu oni trzy mniejsze oddziały wojska, które Zofiros z „powodzeniem" użył przeciwko Persom. Sprawa była zresztą z góry z Dariuszem ukartowana. Babilończycy spodziewając się jeszcze większych sukcesów, powierzyli rzekomemu „zdrajcy króla Dariusza" znacznie większe oddziały, lecz ten w czasie następnej walki otworzył bramy i umożliwił zdobycie Babilonu.

Nierzadko oczywiście tacy pierwsi „podwójni agenci" padali ofiarą zemsty jednej lub drugiej strony. Dla szpiegów bowiem nigdy litości nie miano. Zdemaskowany wywiadowca płacił gardłem lub bywał duszony. Dopiero o wiele później wymyślono dla nich formę rozstrzeliwania, jako kary za szpiegostwo.

TABLICZKA Z TAJNOPISEM

Jedną z pierwszych form tajnej łączności utrzymywanej przez wywiadowców były sygnały optyczne, podawane z gór przy pomocy zwierciadeł. Rychło jednak szpiedzy starożytni jęli stosować formy przekazywania wiadomości tajnopisem. Taki na przykład wygnany ze swego kraju król Sparty Demataros oddał się na służbę królowi perskiemu Kserksesowi. Jednocześnie jednak służył Atenom. Wiadomości o zamysłach i planach Persów przekazywał na tabliczkach woskowych. Były one preparowane na drewnianych deszczułkach powlekanych woskiem. Demataros pisał wprost na drzewie, potem zalewał to woskiem i pokrywał obojętnym z punktu widzenia wojskowego tekstem. Historia milczy jednak o tym, czy był schwytany na gorącym uczynku, nie wiadomo także, czy jego wygnanie ze Sparty nie było prowokacją wobec Kserksesa. Wiadomo bowiem, że Demataros przesyłał także zebrane wiadomości do Sparty.

Z całą pewnością jednak nie powiodło się Alkilidesowi, który w czasie długoletniej wojny Sparty z Atenami o hegemonię na Peloponezie (459—404 przed n. era) był klasycznym podwójnym czy nawet potrójnym agentem. Ten Ateńczyk najprzód sprzeniewierzył się swojej ojczyźnie, pracując na rzecz Sparty, potem zdradził Spartę i uciekł do Persji, którą skłonił do wystąpienia zbrojnego po stronie Aten, przeciwko Sparcie. Wreszcie zdradził także Persów, szukając schronienia u plemion zwanych przez starożytnych Greków „barbarzyńcami". Tam prawdopodobnie, choć brak dokładnych danych prowadził wywiad przeciwko państwom greckim. Ostatecznie został ten niebezpieczny szpieg starożytności zasztyletowany przez wysłanników rozgniewanej Sparty.

RZYMIANIE GARDZILI

Zasadniczo Rzymianie szpiegostwem gardzili. Ich, jeśli tak można powiedzieć, „doktryna wojenna" opierała się na wierze w siłę oręża. Legiony rzymskie miały rozstrzygać każdy konflikt, lub każdą wojnę. Zresztą nic w tym dziwnego, skoro od czasu wojen z Kartaginą, wojska rzymskie przez trzy wieki nie poniosły żadnej znaczniejszej klęski. Poczucie siły i wiara w siłę zbrojną legionów decydowała o tej postawie i doktrynie.

Później jednak okazało się, że bez wywiadu trudno przedsiębrać wielkie wyprawy wojenne. Na przykład Drusus, pasierb cesarza Augusta, na przełomie starej i nowej ery, podbijał plemiona germańskie, lecz wskutek braku informacji o warunkach geograficznych a przede wszystkim meteorologicznych, musiał pospiesznie wycofać się w czasie jednej z wypraw. Także, wcześniej nieco, ze swoistą formą wywiadu zetknął się Juliusz Cezar. Odrzuciwszy jedno z plemion germańskich za Ren, wziął do niewoli wodza. Ku swemu zdumieniu Cezar dowiedział się wówczas, że prymitywny German jest doskonale poinformowany. Wie co się święci w Rzymie, kto i w jaki sposób dybie na życie Juliusza Cezara i pragnie jego klęski. Wódz legionów pospiesznie wrócił do Rzymu i zlikwidował przeciwników.

Później wywiad rzymski działał coraz sprawniej. Jego celem było nie tylko zdobywanie przy pomocy wędrujących kupców i rzemieślników informacji o znaczeniu wojskowym.

Ta dziedzina w systemie precyzyjnie rozbudowanego wywiadu imperium rzymskiego była zadaniem drugorzędnym, najważniejszym zaś był wywiad polityczny. Posiadając wielką przewagę potężny Rzym starał się skłócić ze sobą mniejsze plemiona i państewka, wygrywać rozwijające się między nimi sprzeczności. Do tego celu potrzebne były szczegółowe wiadomości, których mógł dostarczyć tylko wywiad.

SKOK WE WSPÓŁCZESNOŚĆ

Przed kilkoma laty pewien dziennikarz zagraniczny wylatywał z Moskwy samolotem wracając do swego kraju. Odbył, jak twierdził bardzo interesującą podróż i wiózł pełen notes pasjonujących informacji. W walizce zaś, ku zdumieniu celników, posiadał ogromną ilość zeschłych kromek chleba i małych buteleczek z wodą. Wszystkie te „skarby" teoretycznie nie podlegały ocleniu i gdy celnicy je skonfiskowali, posiadacz osobliwego szmuglu niesłychanie się oburzył. Prawdopodobnie nie wyrażał się pochlebnie o „wolności i demokracji" w ZSRR, która stosuje tak dziwne ograniczenia wobec swych gości zagranicznych.

Tymczasem celnicy nie zakwestionowali tej przesyłki z własnej inicjatywy, a na żądanie placówki kontrwywiadowczej, która dziennikarza zagranicznego o tak osobliwym zainteresowaniu wodą i chlebem z różnych rejonów ZSRR już od dawna miała na oku. Otóż okazuje się, że zdobywanie próbek wody i chleba jest... szpiegostwem atomowym. Nie ma przesady w tym stwierdzeniu, bowiem niesłychanie czułe aparaty potrafią wykryć w wodzie lub chlebie zawartość radioaktywnych substancji. Nie są one szkodliwe dla zdrowia, nie są możliwe do wykrycia przez zwykłe liczniki Geigera tylko w ultraprecyzyjnych aparatach. Gdy zbierający próbki szpieg wie, gdzie kupił kromeczkę chleba lub nalał sobie wody do buteleczki, a laboratorium ustali, które próbki wykazują zwiększony stopień radioaktywności, można ustalić gdzie mianowicie istnieją zakłady zajmujące się produkcją energii atomowej.

* * *

Czasy, gdy wywiadowca przeżywał romantyczne przygody, rysował z ukrycia plan twierdz, fortyfikacji, gdy wykradał plany strategiczne wroga, formuły konstrukcyjne i chemiczne tajnych broni — dawno minęły. Owszem, jeszcze współcześnie zdarzają się takie „wielkie przygody", lecz regułą pracy wywiadowczej w świetle tego co wie opinia publiczna — i co do niej się przedostaje z tych ściśle przecież tajnych spraw, jest stała informacja o wszystkim. Powstała nauka wywiadowcza, na usługach której stanęły wszystkie zdobycze najnowocześniejszej techniki.

JERZY DAGOBERT

STANISŁAW WORKIEWICZ

ŁAD w eterze

OMS-znaczy: krótkofalowcy

Karty QSO: świadectwa pracy operatora

JAK POZNAJĄ SIĘ KRÓTKOFALOWCY WŚRÓD WIELU STACJI CZYNNYCH W ETERZE?

Konferencje międzynarodowe dla spraw komunikacji radiowej ustaliły sposób oznaczania stacji. W myśl umów każdy kraj ma przyznany mu znak dwu lub trzyliterowy zwany prefiksem. Tak więc Polska ma znak SP, Czechosłowacja — OK, Szwecja SM, Indie VU, Australia VK.

Znak — SP 7 KAN oznacza:

SP — Polska
7 — Okręg Łódzki
K — stacja klubowa
AN — znak indywidualny

Znak — UA 9 KAW oznacza:

UA — ZSRR
9 — Daleki Wschód
K — stacja klubowa
AW — znak indywidualny

Każdy krótkofalowiec zna prawie wszystkie prefiksy na pamięć. Słysząc znak stacji, który zgodnie z przepisami należy w czasie łączności co kilka minut powtarzać, wie dobrze, z kim ma do czynienia.

Znaki wywoławcze najaktywniejszych stacji łódzkich: SP 7 KAN, SP 7 LA, SP 7 HX, SP 7 AAK, SP 7 LW itd.

DOKUMENTACJA ŁĄCZNOŚCI

Każdy krótkofalowiec posiada specjalnie wydrukowaną wizytówkę pod postacią tzw. karty QSL. Zwyczaj przesyłania kart QSL po nawiązaniu łączności datuje się od początku ruchu amatorskiego, kiedy krótkofalowcy po udanej lub częściowo udanej łączności zwykle dzielili się uwagami po raz wtóry korespondencyjnie na temat warunków technicznych łączności. Zwyczaj ten przeszedł stopniowo w obowiązek. Listy zostały zastąpione kartami zwykle pięknie opracowanymi graficznie, na których znajdujemy wydrukowany grubym drukiem znak wywoławczy, adres operatora, datę i godzinę łączności, opis techniczny stacji, warunków atmosferycznych i propagacji (rozpowszechnianie się) fal w momencie przeprowadzania łączności.

OMs (krótkofalowcy) zwykli chwalić się przed sobą nawzajem swymi osiągnięciami tj. ilością i jakością przeprowadzonych QSO (łączności). Karty QSL są więc świadectwem pracy operatora. Rzadko zdarza się, by któryś z operatorów nie przesłał swego pokwitowania. Ciche porozumienie mówi bowiem, że **„QSL cardl is the final curtesy of the QSO"** — to znaczy, że przysłanie karty QSL jest ostatecznym grzecznościowym sfinalizowaniem łączności. Biada takiemu, który nie przestrzega owych kurtuazyjnych form. Wieść o tym, że taki a taki nie wysyła swoich kart opublikują czasopisma krótkofalarskie różnych państw i delikwent zostanie zbojkotowany w eterze. Trudno mu będzie nawiązać łączność.

DYPLOMY, ZAWODY

Pomieszczenie radiostacji, owo sanktuarium nadawcy popularnie zwane szekiem (ang. shack) jest zwykle wytapetowane kartami QSL oraz dyplomami.

Dyplomy to specjalny rozdział krótkofalarstwa. Ilość dyplomów posiadanych przez właściciela i operatora stacji jest podobnie jak ilość kart dowodem jego pozycji w światku krótkofalarskim. Dyplomy można otrzymywać bądź za udział w zawodach jak i za spełnienie pewnych warunków stawianych przez fundatorów danego dyplomu. Fundatorami tymi są zwykle poszczególne organizacje krótkofalarskie państw członków organizacji I.A.R.U. (International Amateur Radio Union). Jednym z najstarszych i zarazem najpopularniejszych dyplomów jest amerykański W.A.C. (Worked All Continents). Można go otrzymać po okazaniu 6 kart QSL od amatorów z wszystkich kontynentów. Karty te wysyła się do Amerykańskiej Ligi Krótkofalowców wraz z opłatą kosztów przesyłki w postaci specjalnej waluty (a jakże!) I.R.C. (International Reply Cupons) Poszczególne organizacje dysponują takimi kuponami otrzymując je przeważnie za dyplomy wystawiane przez siebie, o które ubiegają się OMs z innych krajów. Jako uznanie za wyniki w pracy w eterze uzyskuje się piękny dyplom. Każdy dyplom upoważnia operatora do uwidocznienia na swojej karcie QSL skrótu nazwy tego dyplomu. Otrzymując kartę od nieznanego operatora można na podstawie ilości dyplomów wywnioskować, z jakiej rangi nadawcą miało się do czynienia.

Polska jest fundatorem dyplomu w 21 M (Worked 21 Meridian) — za łączności z krajami, przez które przebiega warszawski południk 21.

Dyplom amerykański DXCC — za łączności z co najmniej 100 krajami posiada w Polsce 15 osób, w tym jeden łodzianin o znaku wywoławczym SP 7 HX.

KLUB ŁOWCÓW DYPLOMÓW

W całym świecie jest mnóstwo dyplomów. Warunki ich otrzymania mogą być łatwe i mogą być trudne. W każdym razie za każdym dyplomem kryje się wiele nieprzespanych nocy w pościgu za rzadkimi stacjami i wiele trudu włożonego w techniczne przygotowanie radiostacji. Autorowi artykułu brakuje np. od 2 lat do dyplomu szwedzkiego WASM jednej łączności z wyspą Gotland, której na nieszczęście nie może usłyszeć.

Istnieje też specjalny Klub Łowców Dyplomów (Award Hunters Club), do którego należą amatorzy skierowujący cały swój wysiłek w kierunku uzyskania jak największej ilości dyplomów. Oczywiście jest to klub międzynarodowy.

Kobiety, krótkofalarki wydają też specjalny, dyplom za pewną ilość łączności ze stacjami, których operatorami są YL lub XYL. Przyjemnie jest dostać dyplom wyhaftowany przez znajomą z eteru z dalekiego kraju.

400 ŁĄCZNOŚCI W CIĄGU 12 GODZIN

Inne dyplomy uzyskuje się za zajęcie odpowiedniego miejsca w zawodach. I tu bowiem podobnie jak i w innych gałęziach sportu organizowane bywają międzynarodowe zawody. Jest to bodajże jedyny rodzaj zawodów sportowych w których nie widzi się swego partnera. Zawody mogą być organizowane wewnątrz jednego państwa lub też na skalę międzynarodową wzgl. międzykontynentalną. Startować w nich może każdy licencjowany operator w pracy fonią lub telegrafem, zależnie od warunków zawodów.

Organizacyjnie zawody wyglądają następująco: Organizator powiadamia o terminie i regulaminie zawodów poszczególne organizacje wszystkich państw. Zwykle każde państwo tradycyjnie z roku na rok o tej samej porze roku urządza międzynarodowe zawody. Zawody mają zwykle część telegraficzną i foniczną osobno. Czas trwania zawodów — różny. Od 4 do 48 godzin. Np. zawody radzieckie „CQ Mir" — 12 godzin. Od 21.00 do 9.00 następnego dnia. Gra polega na zdobyciu jak największej liczby punktów, która przeważnie jest proporcjonalna do ilości nawiązanych łączności. Różne kraje, na różnych pasmach są punktowane inaczej w zależności od rodzaju trudności propagacyjnych i odległości. Łączność w takich zawodach ogranicza się do podania tzw. raportu oraz kolejnego numeru przeprowadzonej łączności. Korespondent podaje swój raport, powtarza odebrany i obaj wpisują go do logu czyli dziennika stacji. Dziennik ten po ukończeniu zawodów zostaje wysłany do organizatora i tam jury sędziowskie z kilku państw porównuje logi operatorów-zawodników. Jeśli np. odchylenia w czasie zanotowanym przez obu operatorów przekraczają np. 5 minut, łączność zostaje uznana za nieważną. W wypadku nienadesłania logu, wszystkim korespondentom tej stacji, która nie nadesłała dziennika uznaje się daną łączność za nieważną. Przy tym systemie wszelkie omyłki są niemożliwe. Dla orientacji podam że w zawodach CQ Mir krótkofalowiec radziecki w przeciągu 12 godzin uzyskał prawie 400 łączności.

Na czarodziejskim dywanie fal krótkich (II)

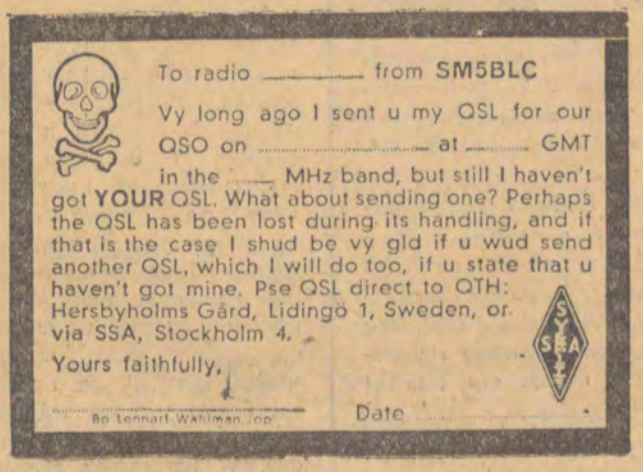

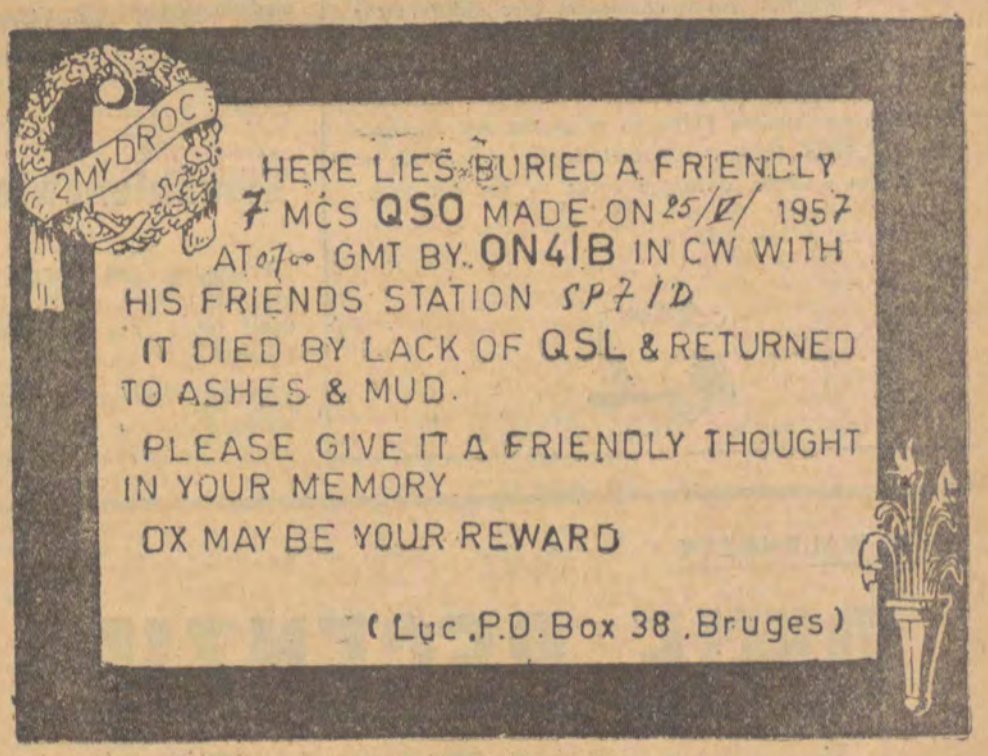

A oto przykład solidarności krótkofalowców. — Ponieważ przyznane amatorom wąskie pasma w widmie fal krótkich są często wbrew umowom, użytkowane przez stacje nieamatorskie jak: handlowe, komunikacyjne itd. rozpowszechniana jest ulotka mobilizująca amatorów do obrony swoich praw przez zbiorowe zagłuszanie intruzów. Biada nieszczęsnemu „piratowi" (tak ich bowiem nazywają krótkofalowcy) gdy wstroi mu się na jego częstotliwość kilka silnych stacji amatorskich. Nec Hercules contra plures! Musi rejterować z uzurpowanej sobie częstotliwości.

Może się zdarzyć, że karta QSL nie dojdzie do adresata. Oczekujący jej wysyła więc drugą jako monit przypominający o niedopełnieniu obowiązku. Powyższe karty żartobliwym nekrologiem powiadamiają winnego, że oczekujący umarł z braku karty, obróciwszy się w proch i w pył. Jedynie natychmiastowe zadośćuczynienie amatorskiemu savoir vivre przez wysłanie karty może przywrócić go do życia.

odgłosy str. 5

HENRI MICHAUX

Podróż do Wielkiej Garabanii

Henri Michaux — poeta urodzony w Belgii w r. 1899 zasługuje w sensie dosłownym i przenośnym na miano poety — podróżnika. Podróżował wyjątkowo dużo, a plonem tych podróży jest kilka tomów poezji. Kolejno ukazują się „sprawozdania z nowych lądów": w r. 1932 „Un barbare en Asie", 1936 — „Voyage en Grande Garabagne", 1942 „Au pays de la Magie". W r. 1948 poeta wydaje zbiór pt. „Ailleurs" („Gdzie indziej") pomieszczając tam obok dwóch ostatnich jeszcze jeden, do owego czasu nie wydany we Francji, tom poezji „Ici Podemma" („Tutaj Podemma"). Pozwólmy sobie zacytować fragmenty z przedmowy autora do „Ailleurs".

„Autor bardzo często zmieniał miejsce zamieszkania: dwa lata w Garabanii, prawie tyleż samo w kraju Magi, nieco krócej w Podemma. Zresztą być może dłużej. Dokładnych dat, niestety, nie posiada. Owe kraje nie zawsze mu się podobały. Czuł się tam w każdym razie swobodniej niż w Europie. To już coś znaczy..."

Wymienić należałoby trzy nazwiska w związku z niezwykłą poezją Michaux; Jonathan Swift, Voltaire i Franz Kafka. Nazwiska nie wskazują zapożyczeń świadomych. Autor „Ailleurs" pozostanie poetą, którego cechą wyróżniającą, powiedzmy to paradoksalnie jest oryginalność wyobraźni. Jak Swift stworzył lądy nowe i niezwykłe — ich wizja jednak jest okrutniejsza o doświadczenia człowieka wieku XX. Nazwisko Voltaire narzuca skojarzenie z formą powiastki filozoficznej. Wszelako Michaux jest bogatszy o wizję, o przedsiębiorczość, o szerszy wykładnik wyobraźni. Franz Kafka przychodzi na myśl wtedy, gdy uświadamiamy sobie, iż podróżujemy w istocie po lądach okrutnych. Ale świat Kafki, tak integralnie pesymistyczny, przewartościowuje się niejako w wizji Michaux: poeta dodaje mu element groteski i humoru.

Tyle o poezji „krajów i lądów wyobraźni" Michaux.

Trzeba dodać jeszcze, iż ten poeta, który nie mieści się w jednej tendencji poetyckiej, jest utalentowanym i oryginalnym rysownikiem oraz autorem całego szeregu innych tomów poezji. Nieobce mu były i próby dadaistyczne i surrealizm i tendencja zmierzająca w kierunku zniszczenia języka. Jest także Michaux stwórcą jedynego w swoim rodzaju osobnika: „Pana Piórko" (Plume), który obraca się w okrutnym świecie, doznając coraz to nowych przygód.

W. K.

U Aków

Czasami, około południa, na jednej z ulic stolicy, zdarzy się wam zauważyć człowieka zakutego w kajdany, prowadzonego pod eskortą Gwardii Królewskiej. Jest on, jak się zdaje, zadowolony. Ten człowiek idzie na śmierć. Właśnie „targnął się na życie króla". Nie dlatego, że był najmniej zadowolony ze wszystkiego. Chciał po prostu uzyskać prawo do uroczystej egzekucji, na jednym z dziedzińców pałacu, w obecności Straży Królewskiej.

Sam król, nie warto nawet o tym wspominać, nie jest wtajemniczony w te sprawy. Już od dawna nie interesuje się egzekucjami. Jednakże rodzina skazańca jest zaszczycona. On sam zaś, ów skazaniec, uzyskuje w końcu pełną satysfakcję, aczkolwiek życie, które przeżył, było z jego winy smutne i zmarnowane. Każdy dorosły człowiek jest uprowadzony do tego spektaklu numer 30, który nazywa się „śmierć zadana na pałacowym dziedzińcu". Dany osobnik po spontanicznie wyznanym zamiarze, iż pragnie „targnąć się na życie króla" musi złamać wielką kratę, kratę małego ogrodzenia i drzwi wejściowych. Nie jest to wcale trudne. W ten sposób chciano zadośćuczynić tym wszystkim, których natura upośledziła.

Prawdziwe trudności zaczynają się dopiero przy drugich drzwiach.

Emanglonowie

Emanglon, jak mogliście się już tego domyślić, nie znosi jeżeli mu ktoś przeszkadza.

Ponad drzwiami wejściowymi do domu Emanglona wyryta jest w kamieniu lub drzewie duża ludzka głowa. Symbolizuje ona spokój, który jednak łatwo przeistacza się w gniew. Przytwierdzone do krótkiej kamizelki, po nad drzwiami zwisają aż do samej ziemi dwie nogawki. Na skutek takiego układu człowiek przybywający z wizytą musi owe nogawki rozsunąć. Otóż i gbur!

Nie zdążyliście wejść jeszcze do wewnątrz, a właściciel czuje się już obrażony. Został przez was znieważony i może teraz zemścić się jak mu się tylko podoba.

W takim wypadku lepiej się zastanowić i zrezygnować raczej z wizyt, które nie są niezbędne.

Zdarza się jednak podczas składania wizyty dobremu przyjacielowi, że to on sam, we własnej osobie, rozsuwa nogawki przed wejściem. Zaiste, zostaliście wyjątkowo zaszczyceni przez właściciela. To on zdaje się mówić: „Ja jestem intruzem. Niech mi pan wybaczy moją tu obecność".

Skądinąd, dla świętego spokoju, lepiej nie składać zbyt długich wizyt.

Ekalici

Nigdy nie dowiedziałem się, czy jest to wynikiem choroby, czy też zwykłą, naturalną skłonnością. Ciało Ekalitów przy najmniejszym nawet dotknięciu czerwieni się (wyłączywszy ręce i stopy). Ślad pozostaje godzinę, a nawet dłużej. Myśliwi powracający z boru naznaczeni są odciskami w kształcie kwiatów, liści czy nasion. Ciało kobiet jest perłowe, przy odblasku cudowne —

Nie znudziło mi się nigdy kształtować, jakby na rysunku, kciukiem i palcami na ich ciele, różane figury lub inne ciała różane czarownicy też lalek. Dzięki temu ta lentowi kochały mnie. Lubiły wychodzić i pokazywać się. Lubiły też, uległe i filuterne, abym kształtował je mymi palcami.

I miały ciało perłowe, perłowe, słyszycie!

Mirnowie

U Mirnów kobieta, której udowodniono cudzołóstwo nie ponosi żadnej kary, jeśli nie liczyć kilku, według upodobania męża, zadanych jej ciosów. Co do kochanka, jest on obowiązany pokrywać wszystkie wydatki małżeństwa: pożywienie, napoje, rozrywki itd. lub, jeśli nie ma po temu środków, obowiązany jest przebywać dzień i noc pod progiem, gotowy do wszelkiej pańszczyzny, aż do chwili, kiedy mąż nie powie: „Dosyć"!

(Zwyczaje uprawniają mężą do korzystania z pracy kochanka nie dłużej, niż w okresie ośmiu sezonów).

Jednakże pewni mężowie nie chcą być skrępowanymi tym terminem, korzystają więc z okazji, że za wino płaci kochanek. Podobnie niektórzy kochankowie nie chcąc być skrępowanymi, decydują się więc jeszcze raz posiąść ową kobietę. Tak więc cena haraczu za powtarzanie miłostek bywa przedłużana w nieskończoną ilość sezonów.

Omobulowie

Omobulowie żyją w cieniu Emanglonów. Nie uczynią żadnego bez nich kroku, nie uzgodniwszy tego przedtem. Naśladują ich we wszystkim. Jeżeli nie ich to w każdym razie Orbów. Chociaż Orbowie są rasą pokrewną Emanglonom, a także ich lennikami. Omobulowie naśladując Orbów drżą na samą myśl, że Emanglonowie mogliby być z tego niezadowoleni. Wszelako uczucia Emanglonów są nieprzeniknione, dlatego też Omobulowie czują się nieswojo, zwracając się bądź to w stronę Orbów, bądź też Emanglonów.

Tłumaczył WŁODZIMIERZ KRYSIŃSKI

JERZY WALEŃCZYK

DWIE RECENZJE

Spowiedź, pokuta, publicystyka

Włodzimierz Piotrowski chciałby pisać swoje wiersze ze ściśniętym gardłem, z tłumikiem nałożonym na uczucie, ze wstydliwością i wzruszeniem. Bardzo szlachetny to i piękny zamiar. Ale wszystkie te atrybuty i cechy współczesnego poety domagają się każdorazowo konfrontacji ze środkami artystycznymi. Księżyce miłości, sygnały milczenia, termometr życia, słońce nadziei nie są metaforami najlepszej próby i ułatwiają pracę wyobraźni, na której nadmiar Włodzimierz Piotrowski nie może się skarżyć. A przecież stać go na wyrugowanie łatwizn, na zaostrzenie krytycyzmu wobec siebie, na ostrzejszą selekcję słów.

Piotrowski wyczuwa puls historii i chciałby mówić prosto. Zbyt często jest to prostota publicystyczna, wątpliwego gatunku. Ale obok tego prezentuje przecież i kondensację i ciekawe zróżnicowane chwyty stylistyczne. (np. wiersz „Drzewo"). Ba, autor ma ambicje nowatorskie, zapuszcza się na tereny poetyckie nowe, nie odwiedzane dotąd, ale na razie w charakterze turysty a nie pełnoprawnego właściciela tych ziem.

Miałbym za złe poecie, że daje się zbyt często uwolnić gołymi faktami, które jeszcze nie robią wiersza. Mówiąc uczenie — organizacja wzruszenia estetycznego jest nieprzekonywająca („Gorączka wieku dojrzałego"). Brak tu jakiejkolwiek architektury zdania.

Jeżeli już jestem skazany na pozycję Zoila to radziłbym unikać łatwizn i fascynacji podejrzaną prostotą. Piotrowski ma jednak jedną cechę niewątpliwie dobrą. Zaczyna od prostych konstrukcji, przechodząc do złożonych. To może okazać się dla niego zbawienne, zwłaszcza, że czuje się dobrze w konwencji różewiczowskiej i potrafi siłą własnych doświadczeń odeprzeć zarzut wtórności zdecydowanej.

Cóż, drażni mnie u Piotrowskiego to zadufanie w pierwszym z brzegu pomyśle, nie zawsze znajduję ścisłą ewidencję słowa, widzę dobre zapowiedzi w otoczce złej publicystyki, ale bądźmy sprawiedliwi — w tomiku spotykamy niejedno prawdziwe wzruszenie, zwłaszcza tam gdzie poeta mówi o potrzebie ekspiacji i jakiejś świeckiej pokucie w ciszy, z dala od gromkich dzwonów, gdzie mówi o zachłyśnięciu się florą i fauną Mazur.

Mamy więc do czynienia nie tylko z dobrymi intencjami. Wydaje mi się, że Piotrowski mógłby sporo zrobić, zajmując się bliską mu przecież pieśnią ludową.

Włodzimierz Piotrowski „Progi niepokoju". Wyd. Łódzkie, Biblioteka Poetów 1959.

Wiersze do czytania

Jerzy Wilmański zaprosił mnie pewnego wieczoru do siebie, do Aleksandrowa. Był piekielny mróz, zmarzłem w tramwaju podmiejskim, Aleksandrów leży daleko poza Łodzią. Może dlatego Wilmański ustrzegł się ultranowoczesności młodych łódzkich poetów. Widziałem na jego biurku glinianego murzyna, zatrudnionego w charakterze popielniczki, o którym pisze, widziałem nad biurkiem portret Gałczyńskiego, a z boku i nieco wyżej — Majakowskiego. Aleksandrów to dziwne miasto. Jerzy Wilmański ma okiennice na noc opuszczane, i w kąciku koło drzwi wiodących do sypialni nocą pali się mała lampka, sygnał rozpoznawczy dla domowników jak orientować się w mieszkaniu. Żona Wilmańskiego pisze pracę magisterską o Norwidzie, posługując się między innymi cennym studium Mariana Piechala.

Po tej wizycie inaczej patrzę na wiersze młodego ciekawego poety, rozumiem dlaczego mówi o sobie „taki śmieszny, obłąkany Marco Polo łódzkich ulic", dlaczego „bolesna fatamorgana odjeżdża brudnoczerwonym tramwajem".

Jerzy Wilmański ma jedną zdecydowaną przewagę w nowej fali debiutów poetyckich w Łodzi (Piotrowski, Łoboda, Dąbrowska). Wilmański ma ucho. I to uczulenie na melodię sprawia, że czytelnicy go kupują. Powiedzmy sobie wprost. Odbiorcy musi coś zagrać w duszy, żeby uwierzył wierszowi. Jerzy Wilmański umie to sprawić. I to nie tak źle, jakby się wydawało pozornie.

To są poezje, których nie należy analizować. Lekkie, jak muśnięcia cieniem, łagodne, wytłumaczalne. To są wiersze, które się tylko czyta. Na przykład „Noce szpitalne".

Dlatego nie będę załamywał rąk, że poeta pisze o dziewczynie z „Honoratki" stylem postsymbolistów z lat dwudziestych dwudziestego wieku, dlatego nie będę podnosił lamentu, że „Odyseusz" jest akurat jak z pierwszych lat Skamandra, że, że, że...

Wilmański jest talentem poetyckim. To pewnik. Jakiej miary talentem, przekonamy się czytając następne jego tomiki. Wierzę, że sprawi nam miłą niespodziankę.

Sądzę, że nie zdaje sobie sprawy jeszcze z szans poetyckich, z dużego ładunku tragizmu i pragnienia pogody i szczęścia, jakie w sobie nosi.

Jerzy Wilmański „Poemat niedoskonały" Wyd. Łódzkie Biblioteka Poetów 1959.

Tylko dla studentów III i IV roku

Noszenie krawatów i marynarek to święty obowiązek

Wirginia przegrywa 33:0

(Dokończenie ze str. 1)

przywiązuje się w Virginii tak dużą wagę do tradycji. Tak jak życzył sobie Jefferson, przepraszam mr Jefferson. W naszym uniwersytecie mówi się Waszyngton, Roosevelt, Eisenhower, ale przy Jeffersonie dodaje się mister. Przez szacunek i tradycję założyciela.

Tradycja również nakazuje zwracać się do profesorów nie per profesor, ale per mister. Do kolegów nie przez „hej chłopcy", ale per „gentleman". Przez szacunek dla tradycji studenci muszą nosić białe koszule, krawaty i marynarki nawet w upalne dnie. Oto co pisze oficjalny biuletyn uniwersytecki „The Jeffesonian":

„Noszenie krawatów i marynarek w czasie wykładów oraz na terenie dziedzińca jest świętym zwyczajem studentów naszego uniwersytetu.

...„Student uniwersytetu Virginia razmawia tylko z ludźmi, których zna, nawiązując w ten sposób bardziej przyjazne stosunki, aniżeli wtedy, gdy rozmawia ze wszystkimi". Tradycja jest tu wszystkim i pisze się przez duże T. Tak jest w Anglii. Virginia jest zresztą bardzo proangielska. W tzw. dobrych domach rodzin wirgińskich, można spotkać na ścianie portret królowej angielskiej.

Tradycja każe też się uczyć...

NAUKA KOSZTUJE

Według danych sprzed dwu lat, w USA czynnych jest 641 państwowych wyższych uczelni i 1191 prywatnych. Uniwersytet w Virginii należy do uczelni stanowych, co oznacza, że jest subsydiowany przez rząd stanowy. Naturalnie duża część funduszów pochodzi z prywatnych fundacji, z datków i spadków po absolwentach. W uniwersytetach stanowych czesne jest na ogół tańsze od prywatnego szkolnictwa wyższego. Szczególnie niskie jest czesne dla mieszkańca stanu. Jeżeli więc np. mieszkaniec stanu Virginia płaci 230 dolarów za rok akademicki, to student z sąsiedniego stanu musi płacić już dwa razy więcej. Uniwersytet utrzymywany jest z podatków ściąganych z mieszkańców Virginii, dlatego też ich synowie mogą kształcić się taniej.

Poniższa tabela może dać ogólny obraz kosztów nauki i utrzymania za rok akademicki (9 miesięcy).

Czesne wraz z opłatą lekarską	524 dol.
pokój pojedynczy	235 dol.
wyżywienie	540 dol.
pralnia	112 dol.
książki i pomoce naukowe	80 dol.
Razem	1491 dol.

A więc prawie 1500 dolarów. Nie jest to mało. Przeciętna rodzina robotnicza nie mogłaby zaoszczędzić tyle w ciągu całego roku. Warta dodać, że jest to tzw. minimum życiowe studenta. Do tego dochodzą przecież inne normale wydatki życiowe, począwszy od fryzjera i kina a skończywszy na butach czy kosztach utrzymania samochodu. W sumie wydatki z trudem mieszczą się w granicach 2 tys. dolarów.

JAK SOBIE RADZĄ STUDENCI

Przede wszystkim pracują. Zwyczaj 3-miesięcznej pracy w okresie wakacji jest tu powszechny. Już w zimie studenci myślą o tym, gdzie „złapać" najlepiej płatną robotę. Podczas wakacji można zarobić do 1000 dolarów. Przy oszczędnym życiu udaje się z tego odłożyć kilkaset dolarów na naukę.

W czasie roku akademickiego można zarobić pracując w bibliotece, 80 centów za godzinę, ale już w stołówce studenckiej dolara i 20 centów za godzinę. 90 proc. pracowników stołówki to studenci, często ci, którzy piszą już prace doktorskie. Nikt się tej pracy nie wstydzi, żadna praca byle tylko uczciwa nie hańbi.

Następnym źródłem utrzymania są stypendia, fundowane na ogół przez koncerny przemysłowe, organizacje lub osoby prywatne, najczęściej z zaznaczeniem jakiego rodzaju osoby są uprawnione do uzyskania danego stypendium. Np. Mc Clure Fellowship — 1200 dolarów: stypendium ufundowane przez prof. Mc Clure, ale tylko dla studenta studiującego stosunki międzynarodowe i do tego pochodzącego z krajów azjatyckich. Wysokość stypendium jest różna od 50 do 2000 dolarów za rok. Ilość stypendiów zmienia się co roku obejmuje kilkuset spośród 5 tys. studentów Uniwersytetu.

COŚ NIECOŚ O NAUCE

Rok akademicki dzieli się na dwa semestry. Pierwszy semestr od połowy września do końca stycznia i drugi od lutego do połowy czerwca.

Po szkole średniej student idzie do tzw. college, na 4 lata. Przez pierwsze dwa lata uczy się w college wszystkiego tego, co nasi uczniowie w szkołach średnich. W ciągu ostatnich dwu lat collegu student specjalizuje się w określonej dziedzinie i wtedy właśnie przenosi się na dany wydział. Oto przykłady wydziałów: anatomia, astronomia, chemia, stosunki międzynarodowe, psychologia, teologia, socjologia, historia itp. Po ukończeniu 2 lat specjalizacji student otrzymuje tytuł naukowy B.A. lub B.S. (bachelor of Art), i w zasadzie kończy uniwersytet.

Trzeba tu zaznaczyć, że w odróżnieniu od systemu w Polsce, w USA wydziały politechniczne i medycyna należą do uniwersytetu z tym, że jeżeli ktoś chce zostać inżynierem, od początku uczy się nauk ścisłych bez wspominanych dwu lat nauki ogólnej.

Ogromna większość studentów opuszcza uniwersytet po czterech latach collego z tytułem B. A. Jeżeli ktoś chce otrzymać magisterium, musi dodatkowo studiować około dwu lat. Tytuł Master of Art. (M.A.) jest właściwie odskocznią do ostatniego i najwyższego tytułu naukowego Ph D. czyli doktoratu, co zajmuje z kolei od 2—4 lat żmudnych studiów.

Wykłady mają tu charakter seminariów, tzn. trzeba się do nich przygotowywać i to bardzo solidnie. W dyskusjach seminaryjnych profesor orientuje się, którzy ze studentów są obeznani z zadanym materiałem. Obecność na wykładach jest obowiązkowa. Trzykrotne nie usprawiedliwione opuszczenie wykładów powoduje niezakwalifikowanie do egzaminu, co oznacza stratę szans zdobycia kilku punktów kredytowych. W ogóle trzeba powiedzieć, że po zdaniu egzaminu otrzymuje się tzw. punkty kredytowe. Np. na magisterium wymagane jest 30 takich punktów. Po zdaniu np. egzaminu z przedmiotu wykładanego trzy razy w tygodniu po godzinie przez jeden semestr otrzymuje się 3 punkty kredytowe. Oprócz niektórych obowiązkowych przedmiotów, student sam wybiera sobie resztę wykładów, zgodnie ze swoimi zainteresowaniami i specjalizacją tak, aby zdobyć wymagane minimum punktowe.

EGZAMINY TEŻ SĄ...

„System honorowy wymaga aby mężczyzna i kobieta postępowali uczciwie we wszystkich aspektach życia studenckiego. Kłamanie, ściąganie, kradzież lub złamanie słowa honoru bez względu na powód, będą uważane za naruszenie systemu honorowego. Rezultatem takiego czynu będzie zawsze hańbiące skreślenie z uniwersytetu".

Tak zaczyna się sławna w uniwersytecie wirgińskim karta z przepisami systemu honorowego. W praktyce oznacza to, że egzamin odbywa się bez kontroli profesora. Profesor pisze temat na tablicy (ponad 90 proc egzaminów jest pisemnych) i prosi studentów, aby np. za dwie i pół godziny złożyli zeszyty. Następnie wychodzi do domu lub do swojego gabinetu, gdzie można mu zadać jeszcze kilka pytań wyjaśniających. Studentów nikt nie kontroluje, można dowolnie wchodzić i wychodzić z sali egzaminacyjnej. Spróbujcie podobny system wprowadzić u nas!

Na końcu pisze się tzw. pledge czyli przyrzeczenie z powołaniem się na własny honor, że nie udzieliło się i nie otrzymało się żadnej pomocy przy pisaniu niniejszego egzaminu. Ściąganie jest uważane za ciężkie przestępstwo i jak już wspomniałem kończy się wyrzuceniem z uniwersytetu.

Gdy ktoś zauważy, że kolega ściąga a nie zdemaskuje przestępcy, łamie również system honorowy, który wymaga od studentów wzajemnej kontroli. W ciągu dwu lat mojego pobytu w University of Virginia nie zdarzyło się by ktoś ściągał. Ale w przeszłości wypadki ściągania zdarzały się. System ten wyrabia ogólną uczciwość studentów, gdyż rozciągnięty jest na stosunki w życiu codziennym. Na dziedzińcu spotkać można wiele zapomnianych przez właścicieli przedmiotów, czekających cierpliwie na odbiór.

Wspomniałem również, że większość egzaminów odbywa się w formie pisemnej. W ciągu roku istnieje wiele prac kontrolnych, na ogół w postaci 10-minutowych esseyów. W ciągu 10 minut należy napisać essey odpowiadający na dane pytanie. Jest to mordercze tempo i mieści się chyba tylko w ramach przysłowiowego tempa "amerykańskiego.

BIBLIOTEKA SAMOOBSŁUGOWA

Oprócz małych bibliotek wydziałowych znajduje się duża i dobrze wyposażona biblioteka uniwersytecka. Ciekawe, że student sam wyszukuje numer książki, sam idzie do magazynu, sam wypełnia rewers i nikt go przy tym nie kontroluje z wyjątkiem własnej uczciwości (system honorowy). Trochę książek ponoć ginie — skarży mi się bibliotekarka — ale niewiele więcej niż w każdej innej bibliotece, gdzie czytelnicy nie mają dostępu do półek z książkami. A u nas?

Książkę wolno wypożyczyć na okres miesiąca, a jeżeli ktoś studiuje na magisterium lub doktorat, może trzymać książkę przez jeden semestr.

Rzeczą równie ciekawą jest tzw. „reserve room", gdzie znajdują się książki o charakterze podręcznikowym lub te, które są najczęściej używane. Książkę z „reserve room" wolno wypożyczyć tylko na dwie godziny, po czym należy ponownie przedłużyć wypożyczenie na następne dwie godziny. Jeżeli jednak w międzyczasie ktoś złożył zapotrzebowanie, ma on pierwszeństwo.

Studiujący na magisterium lub doktorat mają prawo posiadać własne biurko z półeczkami. Nikomu innemu nie wolno zająć takiego stolika, a niezbędne materiały i książki są zawsze pod ręką. Jest to ogromna pomoc, jak sam się przekonałem, przy żmudnym studiowaniu różnych dokumentów. Biblioteka naszego uniwersytetu dysponowała ponad setką takich stolików.

Bibliotekę zamyka się o godz. 23.30. Dyżurujący student obchodzi wtedy wszystkie sale, wygrywając na dźwięcznych cymbałkach sygnał, że czas już spać.

DORMITORY

Tak nazywa się dom studencki. Co najmniej połowa studentów mieszka w akademikach, które mieszczą się w obrębie dziedzińca uniwersyteckiego. Pokoje są na ogół jednoosobowe, częściowo dwuosobowe. O cenie wspominałem już na początku artykułu. Wyposażenie pokoju skromne: łóżko, szafa, stół, krzesło i coś w rodzaju naszej komody z 5 szufladami. Codziennie przychodzi Murzynka i sprząta pokój. Bieliznę zmieniają raz na tydzień. Na każdym piętrze (około 20 osób) są dwa telefony, 4 prysznice, 10 umywalek, ciepła i zimna woda. W każdym domu mieszka około 60 studentów. Na parterze — pokój z prasą, stół do gry w ping-ponga, oraz pokój z aparatem telewizyjnym. Przyjmowanie gości płci odmiennej jest surowo zabronione. Nikt wprawdzie nie kontroluje, portiera nie ma, ale... jest system honorowy.

DEMONSTRACJA Z POWODU.. SAMOCHODÓW

Na pierwszy rzut oka wygląda, że w systemie szkolnictwa amerykańskiego student poddany jest ściślejszej kontroli. Tam profesor zna studenta rzeczywiście. Ma to swoje dobre i złe strony. Dobre, bo zmusza studenta do większej pracy, złe — gdyż narzuca mu pewne krępujące jego „wolność studencką" więzy. Uniwersytet amerykański różni się również od uniwersytetu polskiego czy europejskiego w znaczeniu ogólniejszym tym, że jest politycznie martwy. Studenci w Stanach Zjednoczonych jako grupa o pewnych poglądach społecznych i politycznych — nie istnieją.

Rok temu doszło po raz pierwszy w historii uniwersytetu do demonstracji. Powodem było zarządzenie prezydenta uniwersytetu zakazujące studentom pierwszych trzech lat posiadania samochodów. Zarządzenie miało zlikwidować istniejący brak miejsca na parkowanie i po drugie — zachęcić studentów do spędzania więcej czasu nad książką niż nad kierownicą samochodu. Wywołało to falę oburzenia, które odbiło się szerokim echem po całych Stanach Zjednoczonych. Chodziło o to, żeby w okresie weekendów można było wyjeżdżać do oddalonych o 100 km czterech żeńskich uczelni. Studenci spalili najpierw pianino, a za drugim razem zorganizowali potężną demonstrację i spalili samochód. Właścicielowi, starego samochodu zapłacono 50 dolarów ze składek. Oddział policji wezwany przez władze uniwersyteckie rozpędził demonstrantów przy pomocy petard i gazów łzawiących. Do dziś wspominają studenci z dumą o wydarzeniach, które skończyły się w grucie rzeczy fiaskiem.

Już jako ciekawostkę podam, że najpopularniejszą formą wyżywania się studentów amerykańskich jest tzw. „panty raid". Studenci wielką ławą pędzą pod żeński akademik i okrzykami wywabiają do okien zawsze ciekawe dziewczęta, żądając bardziej intymnych części garderoby. Gdy któraś rzuci łaskawie jakiś biustonosz czy coś w tym rodzaju, odbywa się wtedy triumfalny marsz „ze zdobyczą" po dziedzińcu, a czasami, również po ulicach miasta.

LONGIN PASTUSIAK

Nie męczyć maluczkich

Dokończenie ze strony 1

prawdą stałyby się najczęstsze opinie rodziców: mam genialne dziecko. Zna wszystko, prócz współczesności, takie sprytne.

Nasz program nauczania, solenny, sztywny, w którym wszystko z reguły bywa najważniejsze i niezbędne, grzeszy przede wszystkim historyzmem. Ten grzech, nieprzyjemny zresztą w skutkach, rozmaicie się określa. Ogólnie rzecz biorąc, jest to program, który trąci myszką. Jeżeli bowiem młodzież zna przebieg wojny dwóch Róż, a nie zna współczesnych walk narodowo-wyzwoleńczych, jeżeli zna miłą i pożyteczną historyjkę z czajnikiem, który dopomógł wynaleźć maszynę parową, a nic nie wie o zastosowaniu ultradźwięków w badaniu spoistości żelaza i stali, jeżeli zna drugorzędnych pisarzy szlacheckich, a pojęcia nie ma o pierwszorzędnych z ostatniego dwudziestolecia, to jakże inaczej można nazwać taki program? Stary, zwietrzały, nudny, pracochłonny, tyle że pomalowany na czerwono.

Szacunek dla tradycji wymaga odpowiednich proporcji, inaczej można te tradycje obrzydzić. Szacunek dla współczesnej nauki i kultury wymaga, aby znalazła się ona nareszcie w programie nauczania. Jednym słowem, coś skrócić i coś dorzucić. Wiadomo, że każdy fakt naukowy, czy kulturalny z jakim się młody człowiek w szkole spotyka, ma swoje historyczne zaplecze. Ale czy to znaczy, że zawsze trzeba wszystko traktować w rozwoju od Adama i Ewy do socjalizmu? W rezultacie nigdy czasu nie starcza na socjalizm. Na młodość też braknie czasu. Bądź tu młodym przy 9 godzinnym dniu pracy!

Historyzm, niech mu to będzie na kiepską chwałę zapisane, stawia młodzież poza współczesnym życiem. Mimo wielu wysiłków nauczycieli fizyka jest XIX-wieczna, literatura i historia także XIX-wieczna. Współczesność jest tu podawana na wyrywki, na ola Boga, bez ładu i składu, bez ścisłych relacji z otaczającym młodego człowieka życiem. Dzieje samego wieku związane są z rozwojem nauki, techniki, z przemysłem, który powstaje na miejscu, w Łodzi. A, zażartujmy sobie — chłopaka gwoździa przybić nie umieją. Lecz dzieje naszego wieku związane są też z rozwojem literatury i — jeżeli odrzucić szalbierstwo — uczciwym poszukiwaniem nowych form i treści we wszystkich rodzajach sztuki, jest pasjonującą dyskusją. Młodzież zaś deklamuje — „księżyc już zaszedł, psy się uśpiły"...

Jużbym nawet nie narzekał tak bardzo na ów historyzm, gdyby nie to, że jest bezwładny, nie wyzwala pasji poznawczych. Czy zachęca np. do czytelnictwa? Badania w tym zakresie przyniosłyby smutne rezultaty. Nie przypadkowo — wspominam to ze smutkiem — nazywa młodzież „przerabianie" lektury — szarwarkiem, albo robotami przymusowymi. Chciałaby natomiast „rozbierać" dramaturgię ciekawego filmu, spektakle telewizyjne, chciałaby dusza do raju... Cóż kiedy programy nie pozwalają.

Jużbym też mniej narzekał, gdyby wyniki nauczania były dobre. Tymczasem jakie tam one dobre, jeżeli za dobre uważa się liceum, w którym tylko 45 procent młodzieży ma jeden lub więcej stopni niedostatecznych. Przeciętna jest oczywiście, wyższa. Tylko już nie mówmy w tym miejscu, że za naszych czasów rodziły się geniusze i byli dobrzy nauczyciele, a teraz przychodzą na świat dardanelskie osły, które chodzą na wagary i nauczyciele, którzy nie wiedzą ile jest 2 razy 2.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

LUCJAN WŁODKOWSKI

SULEJÓW WYWŁASZCZONY...

DOMY Z CZERWONEJ CEGŁY

Miasto zbombardowali Niemcy we wrześniu 1939 roku. Pierwszy po wojnie burmistrz wysunął realny — tak się przynajmniej wtedy zdawało — program odbudowy Sulejowa. Żadnych szklanych domów, żadnych pałaców! Odbudujemy Sulejów z czerwonej, wypalonej cegły. Ale w Polsce zniszczonych miast było więcej. Dlatego Sulejów musiał poczekać na realizację swego skromnego programu. Dziś pełno tu domów z wapniaka. Sulejów zniecierpliwiony zaczął odbudowywać się sam. I dopiero niedawno oddano do użytku pierwszy, czerwony dom — blok mieszkalny. Dwa dalsze na wykończeniu. Zamieszka w nich trzydzieści sulejowskich rodzin.

Sulejów, pozostawiony sobie, odbudowywał się żywiołowo. Każdy myślał o sobie. Dlatego sulejowskie instytucje gnieżdżą się dziś w wynajętych pomieszczeniach. Dlatego jedyną salą mogącą pomieścić więcej osób jest sala znajdująca się w ocalałej z pogromu remizie strażackiej. Mieści się w niej kino i odbywają się tam wszystkie sulejowskie imprezy. Stąd najważniejszą kulturalną potrzebą Sulejowa jest świetlica. Bardziej przewidujący mówią: nowoczesny dom kultury.

POCHWAŁA CODZIENNEJ PRACY

W budynku, gdzie mieści się sulejowska Rada Narodowa pracuje Zofia Piekarska. Prowadzi bibliotekę. Każdego dnia z rana zasiada za niewielkim stołem w małym pokoiku pełnym regałów i zaczyna „urzędować". Przychodzą do niej starzy, przychodzą młodzi i choć w drugim, małym pokoiku, szumnie zwanym czytelnią, stoją katalogi, nikt do nich nie zagląda. Wszyscy proszą o dobrą książkę. Bądź tu mądry. Dogódź każdemu. Zofia Piekarska wie, że jak raz i drugi da nieodpowiednią książkę, straci czytelnika. Kiedy tu przyszła w bibliotece było 370 tomów i 80 czytelników. Dziś liczba czytelników wzrosła do 1020, a książek jest 7000. Jak na pięciotysięczne miasto wcale ładny sukces. Zofia Piekarska na tym nie poprzestaje. Obecnie największym jej zmartwieniem jest utrzymanie przy książce absolwentów miejscowej siedmiolatki. Bo co tu ukrywać — nasza szkoła nie wyrabia czytelniczych nawyków. Na palcach można policzyć ludzi, którzy po „przerobieniu" w szkole „Pana Tadeusza" prędko do niego wrócą.

Sulejowska szkoła jest taka sama jak inne. Przepełniona, ciasna. Chodzi do niej 900 dzieci. Uczy w niej 25 nauczycieli. Wśród nich tylko dwie osoby z wyższym wykształceniem, sześć — z półwyższym i dwie bez odpowiednich kwalifikacji.

Nauczyciele sulejowscy mają całe dnie zajęte. Od rana do godziny 16 szkoła dzienna. Od 17 wieczorowa i kursy przygotowujące do egzaminu z zakresu siedmiu klas szkoły podstawowej. Taka praca wyczerpuje i uniemożliwia żywsze kontakty ze środowiskiem, nie pozwala brać udziału w życiu kulturalnym miasta. Ale! Czy już sama praca w szkole rannej i wieczorowej nie jest udziałem w tym życiu? Czy szkoła nie przygotowuje do konsumpcji dóbr kulturalnych? Robi to zapewne niedostatecznie. Pomija np. wiele nowych dziedzin sztuki — film, telewizję. Ale bądź co bądź daje sumę wiedzy potrzebnej do najelementarniejszej orientacji w świecie. I to już powinno się liczyć. Nie

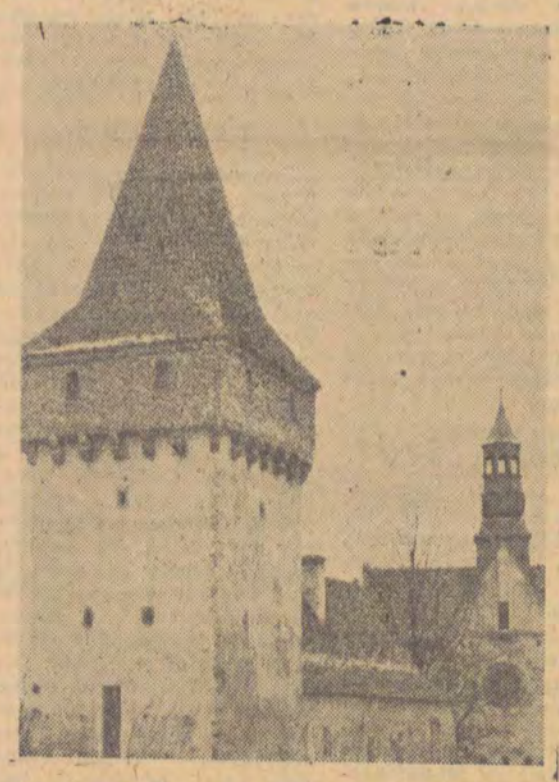

Baszta obronna od strony wschodniej wchodząca w skład budowli klasztornych

miejmy więc za złe sulejowskim nauczycielom, że nie kierują chórem, nie wystawiają „sztuki," Fredry czy Bałuckiego, że „nie biorą udziału", że „nie włączają się". Bo współczesna kultura coraz bardziej przestaje się ograniczać tylko do chóru i amatorskiego zespołu, a coraz więcej zaczyna łączyć się z oświatą. Powoli zaciera się granica pomiędzy działalnością kulturalną, a oświatową. Oświata z jej wszystkimi formami coraz bardziej zdobywa sobie obywatelstwo obok wszelkiej „tradycyjnej" działalności kulturalnej. I właśnie dlatego odwiedziłem m. in. i sulejowski Ośrodek Zdrowia i doktora Zbigniewa Rodkiewicza. Bo poza leczeniem powinien on prowadzić tzw. oświatę sanitarną.

To już Stańczyk stwierdził, że najwięcej na świecie jest lekarzy. A wśród tych „lekarzy" niewątpliwie najwięcej jest pediatrów. Wie o tym dr Rodkiewicz i dlatego właśnie do każdego noworodka wysyła pielęgniarkę, która instruuje matkę jak ma dziecko pielęgnować i karmić. Pedagodzy od dawna odkryli już że wychowanie dziecka zaczyna się od pierwszego dnia jego życia. Toteż matki powinny przychodzić przynajmniej raz na trzy, cztery tygodnie do kontroli i po dalsze wskazówki. I niektóre przychodzą. Inne nie, bo po co chodzić do doktora jak dziecko zdrowe?

Dr Rodkiewicz nie ogranicza swojej działalności tylko do matek i niemowląt. Wygłasza przed mikrofonem sulejowskiego radiowęzła pogadanki o alkoholiźmie, o gruźlicy. A po przyjściu z pracy włącza magnetofon i przesłuchuje swoje nagrania, albo nagrywa nowe melodie z radia. Późnym wieczorem, kiedy żona położy spać synka i nie grozi żadne wezwanie do chorego, (choć z tym różnie bywa), idą oboje do znajomych sąsiadów na bridża. Bo co tu robić na sulejowskim bruku późnym wieczorem?

Takich ludzi w Sulejowie można spotkać więcej. Łączy ich wspólna cecha — swoją pracę traktują poważnie. Lubią swoją pracę i w niej się wyżywają. Kierowniczce jednego z sulejowskich przedszkoli, Helenie Szczęsnej zaproponowano kiedyś przeniesienie do większego ośrodka. Odmówiła — tu też potrzebni są ludzie z inicjatywą. Została i postawiła przedszkole na wysokim poziomie. Wielu młodych nie zdobyłoby się na taką decyzję.

W latach 1946—1959 z Sulejowa poszło na wyższe uczelnie 90 młodych ludzi. Wróciło tylko dwoje. Wielu z nich nie miałoby tu co robić — to prawda. Ale część bardzo by się przydała.

TRADYCJA, KTÓRA NIE ISTNIEJE

— Czy był pan już w klasztorze? — pytali wszyscy. A kiedy odpowiadałem: — Jeszcze nie — dodawali: — Koniecznie musi pan tam pójść. Poszedłem.

Klasztor leży nad Pilicą, na wzórzu, za miastem. Opiekuje się nim nauczyciel miejscowej szkoły — pan Misiurski. Szkoła mieści się w XVI-wiecznym arsenale położonym przy baszcie opackiej. W małych pokoikach nad szkołą mieszka duch opiekuńczy cysterskiego opactwa. Każde szanujące się ruiny powinny mieć swego ducha. Duchem opactwa jest wspomniany pan Misiurski. Po pracy w szkole oddaje się swemu największym hobby — krzątaninie wokół zabytków. Idziemy właśnie z nim w stronę muzeum. Skrzypią drzwi i oczom moim przedstawia się skromne, ale ciekawe muzeum.

Nie będę jednak opisywał tego co widziałem. W innym celu wybrałem się do klasztoru. Otóż właśnie tu, na klasztornym wzgórzu, w roku 1176 Kazimierz Sprawiedliwy założył opactwo cystersów. Stąd więc wziął swój początek dzisiejszy Sulejów. Ale dziś klasztor do Sulejowa nie należy. U nas zabytków nie ma — wyjaśniono pewnemu turyście. Dlaczego? A klasztor? Klasztor leży już w powiecie opoczyńskim, w województwie kieleckim. Do Sulejowa nie należy. Ludzie w Sulejowie potrafią być złośliwi.

Spór o tradycję może komuś wydać się co najmniej dziwny. Mnie np. powiedziano w klasztorze: — Przecież to chyba wszystko jedno gdzie klasztor leży. Tu jest Polska i tam Polska.

To prawda, ale mimo to, to nie jest wszystko jedno. Gdyby pewnego dnia wydzielono z Krakowa Wawel, krakowianie poczuliby się wywłaszczeni z tradycji. Zapewne, to nie jest ta sama skala porównawcza, ale istnieje podobieństwo sytuacji. Dlatego Sulejów czuje się wywłaszczony z tradycji. Gdzieś została przerwana jej ciągłość. Ktoś bezmyślnie uczynił Sulejów miastem młodym, miastem bez tradycji. Przynajmniej bez tej dawnej tradycji, bo tradycja ostatnich lat XIX wieku i początku wieku XX zawarta jest w książce Lucjana Rudnickiego pt. „Stare i nowe",

SPOTKANIE Z PISARZEM

Być w Sulejowie i nie widzieć Rudnickiego? Przechodziłem właśnie koło domu na drzwiach, którego widniała mosiężna tabliczka z nazwiskiem: Maria Rudnicka. Wstąpiłem. Nie miałem jednak szczęścia. Lucjana Rudnickiego już w Sulejowie nie było. Wyjechał kilka dni temu. Napisałem więc list do Warszawy z prośbą o spotkanie i oto jestem na ulicy Mickiewicza i szukam numeru 34.

W gabinecie pisarza ciepło i przytulnie. Zachodzące słońce świeci prosto w oczy, przesiadamy się więc na kanapkę. Rozmawiamy o Sulejowie.

„Ja, rozbitek warszawski, zamiast do Lublina lub do stolicy, dokąd się przeniosły władze centralne, śpieszyłem jak lunatyk do Sulejowa, żeby w nim razem z innymi rozpocząć nowe życie i nowy zaprowadzić ład". — pisał Rudnicki w swojej książce. Przyszedłszy do Sulejowa został tu pierwszym powojennym burmistrzem. To właśnie Lucjan Rudnicki wysunął ów, wspomniany na początku, program odbudowy Sulejowa. Burmistrzem jednak nie był długo. Pracował jakiś czas w Katowicach, a potem w Warszawie, w PZU, i pisał książkę. Obecnie pracuje nad trzecim tomem „Starego i nowego".

Na czarnym, pamiętającym sulejowskie czasy, biurku leżą kartki rękopisów. Praca posuwa się powoli. Ze zdrowiem nie jest już najlepiej. Rudnicki chwilę zamyśla się, a potem wraca do wspomnień o pierwszych miesiącach w Sulejowie.

Burzliwe to były czasy. Bito z prawa, bito z lewa. Z lewa, bo do różnych tam urzędów dostali się „różni" ludzie. Nie warto dziś nawet wspominać. Pisarz macha ręką. Bardziej interesuje go to, co dziś dzieje się w Sulejowie. Chciałby, żeby i klasztor wrócił do Sulejowa. Przyznaje, że potrzebny jest tam dom kultury. I martwi go to, że Sulejów leży z dala od kolei. Planowano kiedyś w Sulejowie budowę bielnika i wykończalni dla Moszczenicy. Wszystko rozbiło się o bocznicę. Może gdyby nie było tej dychawicznej kolejki — wzdycha pisarz — może prędzej Sulejów dostałby prawdziwą kolej. A tak trzeba będzie długo jeszcze tłuc się rozklekotaną wąskotorówką. Czy nie stanowi to hamulca w rozwoju Sulejowa?

SULEJOWSKIE PERSPEKTYWY

Sulejów ma je dwie. Jedna — to wapienniki. Ma tu powstać kombinat wapienniczy. Druga — i ta nas więcej interesuje, choć jedna drugiej nie przeszkadza — to ośrodek wypoczynkowo-turystyczny. I wtedy w pełni zrozumiały staje się nonsens oddzielenia klasztoru od Sulejowa. I wtedy w pełni stanie się zrozumiała potrzeba nowoczesnego domu kultury. Bo jeśli Sulejów miałby się stać takim ośrodkiem, to musiałby to być ośrodek w pełni nowoczesny.

Sulejów ma wodę, las, czyste, zdrowe powietrze. Dr. Rodkiewicz utrzymuje nawet, że ludzie tu mniej chorują na gruźlicę. Latem różne instytucje urządzają tu kolonie. A zrzeszenia sportowe obozy kondycyjne. Są tu warunki klimatyczne. W pobliżu znajduje się bezwodna i kamienna Łódź, jest niedaleki Piotrków. W sumie prawie milion ludzi żądnych czystego powietrza, wody i odpoczynku. I Sulejów może im to dać. Sulejów może dać więcej. Może — a właściwie mógłby — dać kulturalny odpoczynek przy zwiedzaniu muzeum i klasztoru. Tylko placówkę tę trzeba by było odpowiednio wyposażyć. Już teraz powstaje tam schronisko PTTK i to — co za paradoks — z inicjatywy i funduszów Łodzi. Przy dworcu ma powstać letnia kawiarnia. Można by pomyśleć o letnim kinie. Można by jeszcze długo snuć projekty i pomysły. Ale jeśli Sulejów miałby stać się takim właśnie ośrodkiem, to trzeba pamiętać, że poza iluś tam tysiącami turystów mieszka tu na codzień pięć tysięcy ludzi i o nich i ich kulturalnych potrzebach nie można zapominać.

„Obywatele od Sztuki i Kultury, nie zapominajcie o zapuszczonych, ziejących pustką widowniach teatralnych w Sulejowie i wszystkich innych Rzeszotowach", — pisał przed laty w „Starym i nowym" Lucjan Rudnicki. Dziś Sulejów odwiedza dość regularnie Teatr Ziemi Łódzkiej. Przyjeżdżają też inne zespoły. Ale dziś zmieniły się czasy. Ludziom to już nie wystarcza. Telewizja robi tu dopiero pierwsze kroki. Jak wszystko walczy z ciasnotą. Telewizory są drogie, odbiór nie najlepszy. A świetlicy nie ma. Dlatego powtarzam za sulejowianami — potrzebna tu jest świetlica, dom kultury. Są tu bowiem ludzie, których codzienna praca gwarantuje, że nie będzie to tylko jeszcze jedna martwa pozycja w ewidencji.

Dom zbudowany z wapnia na ul. Klasztornej

Władysław Rymkiewicz
ROMANS KRÓLEWSKI

Powieść historyczna **XI.**

Streszczenie

Akcja „Romansu królewskiego" rozgrywa się w XVII wieku. Po bitwie pod Beresteczkiem wojska szlacheckie — podburzone przez podkanclerzego Radziejowskiego z którego żoną romansuje król Jan Kazimierz — odmawiają posłuszeństwa królowi. Wiecująca szlachta, zamiast wyruszyć w pościg za wycofującymi się wojskami nieprzyjacielskimi — postanawia powrócić do domów. Załamany Jan Kazimierz, mimo oporu jego dworzan, Butlera i Tyzenhauza również powraca do Warszawy.

ROZDZIAŁ IX

Martwo błysnęły zwierciadła. Rude płomyki świec słabo migotały w mroku nocy. Jan Kazimierz przeszedł z gabinetu z lustrami do oszklonej galerii z widokiem na ogród spadający w trzech kondygnacjach ku Wiśle zaróżowionej od łuny pożaru. Na praskim brzegu rysowały się niewyraźnie kontury drzew.

W okolicy pałacu Kazanowskich rozlegały się raz po raz huki z dział polowych i hakownic. W przerwach między wybuchami armatnimi słychać było z rzadka bezładne trzaski wystrzałów z rusznic i muszkietów. Wszystkie dzwony kościelne, klasztorne i ratuszowe, ciężkie i sygnaturki, biły w mieście na larum.

Z przeciwległego końca galerii, od drzwi kaplicy zamkowej płynęły chóralne pienia błagalne: Kyrie Eleison, Chryste Eleison.

Jan Kazimierz skierował się tam, znużony, i zasiadł w ostatniej ławce. Kaplica była pełna fraucymeru, dworzan i służby modlącej się o bezpieczeństwo i szczęśliwy połóg królowej. Gawiedź dworska odmawiała litanie i śpiewała antyfony. Jedni siedzieli w ławkach, drudzy klęczeli, inni leżeli krzyżem.

— Prawie jakby orda szturmowała do zamku. I czegóż się boją? — król zżymał się. — Potracili głowy ludziska.

Pomodliwszy się do boleściwego Chrystusa wyszedł bocznymi drzwiami na schody prowadzące do komnat Marii Ludwiki.

Przed drzwiami do sypialni królowej drzemała w krześle poręczowym tęga, młoda babka położnicza w upiętej wierzchniej spódnicy bordo odsłaniającej dolną żółtą, obszytą u dołu taśmami.

Przytrzymał niewiastkę za łopatkę. — Nie wstawajcie. Królowa śpi?

— Zasnęła miłościwa pani i będzie spała. Żeby ino te huki ustały. Czy to aby nie orda?

— Głupia! — wilgotnymi palcami ujął tłusty podbródek z doleczkiem, połaskotał szyję gładką jak atłas.

Niewiastka zaskuczała cicho i chroniąc się przed łaskotaniem zwinęła się wpół.

W sali z popiersiami znakomitych Polaków rozmawiali przy oknie Butler, Tyzenhauz i de Noyers.

— Biją się jeszcze?

Zapadło milczenie. Jan Kazimierz uświadomił sobie, że wszyscy trzej czytali w myślach króla, który wiedział, że jego dworzanie wiedzą, skąd wzięła początek burda o pałac Kazanowskich.

— Czas by uciszyć tumult — doradzał Butler. — Wyślę dragonów.

— A po co! Żeby mi dragonów poranili? — cierpko odburknął Jan Kazimierz. — Niech się wytłuką między sobą, jeżeli o pałac krew przelewać im nie żal. Tyzenhauz, otwórz okno.

Powiał mroźny wiatr. Ciemny przestwór nocy zaczął się rozjaśniać. W brudnoszarym oraszku zarysował się obły pion kolumny Zygmunta i cztery figury na Krakowskiej Bramie.

— Ucichła burda — nasłuchując powiedział Tyzenhauz.

Kroki odchodzącego króla zastukały na posadzce.

— Waszmościowie słyszeli, co to było powiedziane? „O pałac krew przelewać im nie żal" — Tyzenhauz ze znaczącym naciskiem powtarzał słowa króla. — Skąd wie król jegomość, że bili się o pałac? Może im poszło o co innego? O niewiastę? Może to jakieś raptus puellae?

— Co waść chcesz przez to powiedzieć? — podkomorzy uwolnił grzecznie rękaw z palców Tyzenhauza.

— A to, że już od paru dni gadają na mieście, że pan podskarbi Słuszka z namowy króla afrontuje Radziejowskiego. Nie słyszałżeś, jak się podskarbi odgrażał, że rozsieka podkanclerzego.

Butler żachnął się. — Gadatywus z waćpana.

— To nie ja mówię. Całe miasto...

— Nic nie słyszałem.

— Nie słyszał waszmość? A dlaczego to król jegomość nie chciał wysłać drogonii, tylko pozostawił rzeczy ich własnemu biegowi, żeby się obie strony wytłukły? Dlatego, mości panie — tłumaczył Tyzenhauz chełpliwie, jak ten, który wie lepiej — że wszystko to było z góry ułożone z panem Słuszką na zgubę Radziejowskiego, który jako minister stał się dla króla niewygodny, a nawet— niebezpieczny.

Butler wzruszył ramionami. — Banialuki! Idę na miasto. Za godzinę będę wiedział, o co poszło.

— Idź waszmość! Idź, prześwietny obrońco monarchii i dynastii! — Tyzenhauz śmiał się ostrym, uszczypliwym śmiechem.

* * *

Przed śniadaniem Jan Kazimierz przybył odwiedzić małżonkę w jej sypialni i złożyć relację o przebiegu wypadków minionej nocy.— Królowa jejmość nie śpi? — urzędowo zapytał babkę położniczą czuwającą u drzwi.

— Najdostojniejsza pani raczyła się przebudzić — niewiastka dygnęła i przysiadła w ukłonie. — Z samego rana był astrolog.

— Był już astrolog? — Jan Kazimierz z ręką na klamce zatrzymał się, pochylił głowę i zapuścił wzrok za odchylony sznurowany plotek brandenburskiego gorsetu. — Na imię macie?

Niewiasta oblała się rumieńcem po białka oczu. — Dorota.

— Z jakiej familii?

— Z Drewnów, konwisarzy, odlewaczy dzwonów, z Nowomiejskiej.

Król uśmiechnął się z zadowoleniem, nacisnął klamkę i wszedł do sypialni. „Dorota" zanotował w pamięci. „Dorota Drewnowa".

Maria Ludwika w batystowym czepku z koronkami leżała nieruchomo pod baldachimem. Bystre czarne oczy obserwowały badawczo króla. Jan Kazimierz pochylił się w dworskim ukłonie.

— Jak spałaś, moje serce?

— Ach, oka nie zmrużyłam przez całą noc. Huki przeszkadzały zasnąć — udręczonym głosem westchnęła Maria Ludwika. — Król jegomość palcem nie ruszył, żeby zmusić awanturników do przerwania burdy.

— Ma foi, przychodziłem się pytać — Jan Kazimierz śmiał nerwowo rękawiczki. — Powiedziano mi, że śpisz.

— Kto powiedział? — omdlewająco zapytała Maria Ludwika.

— To znaczy, domyślałem się i nie chciałem budzić. — Jan Kazimierz upuścił rękawiczkę, żeby pochylić się i uniknąć badawczego spojrzenia królowej.—Omyliła mnie cisza w komnatach.

— Fraucymer był w kaplicy — Maria Ludwika nakryła oczy powiekami.

— Właśnie. Jak się czujesz, serce?

— Dlaczego marszałek nie uśmierzył burzycieli spokojności publicznej? — Leżąc nieruchomo z zamkniętymi oczami królowa sprawiała wrażenie umierającej.

— Lubomirski wyjechał— Jan Kazimierz syknął. — Czy zauważyłaś, moje serce, że pan marszałek Lubomirski wyjeżdża zwykle wtedy, gdy jest najbardziej potrzebny i gdy przed jego urzędem zarysowują się jakieś kłopotliwe sprawy do załatwienia? Boże, co za kraj, co za ludzie!

Rys. Tadeusz Kokiet'c

— Dlaczego zatem król sam nie pomyślał, że hałas i rozruch w mieście mogą przestraszyć niebezpiecznie królowa? — Maria Ludwika otworzyła szeroko oczy. — Prawdziwie, już to widzę, że dbasz o mnie waszmość szalenie — królowa przyłożyła chusteczkę do oczu. — Ale że nie zadbał waszmość przynajmniej o podkanclerzynę? — W ostrym gardłowym śmiechu było coś ze skrzeczenia papugi. Królowa zbrzydła przed połogiem. Twarz pożółkła i obrzękła, oczy spuchły, spod czepka wyłaziły kosmyki czarnych włosów.

— Serce moje, nie denerwuj się! Co powiedział astrolog?

— Horoskop niedobry — padła kapryśna odpowiedź. — Gwiazdy twierdzą, że podkanclerzy przyczyni nam jeszcze kłopotu. Kierunki i rewolucje gwiazd zapewniają mu przyjaźń pewnej wielkiej damy.

— Damy? — poważnie zastanowił się król. — Któż by to mógł być? Bo żona mu chyba nie przebaczy.

Pochylił się nad gotowalnią małżonki jak krótkowidz, jakby chciał coś odnaleźć wśród miseczek z barwiczką, czernidłem i rumieniłem, z kamforą i mastykiem do upiększania, wśród kryształowych flakonów z olejkami, jak pewnej nocy w innym pałacu pochylał się nad inną gotowalnią, i tym razem wziął również do ręki drobiazg, klamerkę wysadzaną brylancikami (jak kiedyś brał złote puzderko z rzeźbionym wieczkiem), i pomyślał o nietrwałości uczuć, przemijających i wygasłych, z powodu których robiło się w swoim czasie tyle krzyku a którym tenże nieubłagany czas wyznacza miarę, sprowadzając w końcu do właściwych proporcji, że już po upływie roku wydają się błahe jak te rozrzucone w nieładzie błyskotki na gotowalni Marii Ludwiki, jednak zaraz po tak sformułowanej refleksji zawahał się i zwątpił w jej słuszność, bo wspomnienie jak wiatr przywiało melodyjny głos Elżbiety, zalotny uśmiech, zapach ciała i Jan Kazimierz poczuł, jak serce w nim zamiera i żeby nie przedłużać milczenia, powtórzył bez zastanowienia: — Bo żona mu chyba nie przebaczy?

— Może pojedzie do Szwecji — odpowiedziała królowa. — Chwalił się wszak przyjaźnią z Krystyną Szwedzką. Co tam waszmość grzebie w mojej gotowalni? Usiądź i opowiadaj, jak było z burdą?

Jan Kazimierz odłożył klamerkę i przyciągnął do łoża tkany złotem taburet. — Z relacji Butlera wynikało, że były dwie awantury.

— Były dwie awantury — oburzyła się Maria Ludwika — i na Zamku nikt nic o tym nie wiedział?

Król zrobił niewinną minę. — Wszczęli napad panowie Słuszkowie uderzając w czasie nieobecności Radziejowskiego w sile sześćdziesięciu dragonów i konnicy z hajdukami, z tyłu od dziedzińca, przez ogrodzenie na pałac, który zajęli bez strzału przez zaskoczenie.

— Trzeba skazać panów Słuszków na wieżę in fundo — zawyrokowała królowa.

— Słuszków? Hm? — Jan Kazimierz zakaszlał. — Będzie jak zechcesz, moje serce. Prawda, że Polacy nie są najłagodniejszymi na świecie ludźmi, ale trzeba brać ludzi takimi jakimi są, i godzić się z tymi gwałtownikami i raptusami, z którymi nam żyć przyszło.

— Ejże, mości panie, coś mi się nie widzi — królowa zmarszczyła podejrzliwie nos. — Czyś aby nie w zmowie ze Słuszkami?

— Ja? Skądże? — Jan Kazimierz, obrażony, wygładził nerwowo batystowy wykładany kołnierz. — Nie mnie waszmościowie nie obchodzą.

— Mówże tedy dalej, proszę.

— Dalej. Rozpędzeni dworzanie podkanclerzego donieśli mu o napadzie na pałac do Radziejowic — kontynuował król. — Radziejowski, gorączka, rozwścieczony, zwołał okoliczną szlachtę zagrodową, osiadłą koło Radziejowic, zebrał poczet zbrojnej czeladzi i przypuścił szturm do własnego pałacu, to jest, do pałacu żony.

Maria Ludwika wyciągnęła spod poduszki podręczne lustro w złoconej oprawie, usiadła i zaczęła zwijać kosmyki pod czepek. — No i cóż dalej? — wyszczerzyła zbłękitniałe zęby do zwierciadła.

— To właśnie, co słyszeliśmy w nocy. Szturm został odparty, polała się krew. Pan podkanclerzy na widok rannych i zabitych, domyślając się co go czeka, uciekł z Warszawy i przepadł bez wieści.

Lustro opadło na kołdrę.

— A pieczęć? Co z mniejszą pieczęcią podkanclerską?

— To samo powiada Butler: „Co z pieczęcią?" — odrzekł Jan Kazimierz, zgnębiony, mnąc rękawiczki.

— Bo Butler umie myśleć państwowo — rozhisteryzowanym głosem zawołała królowa. — Bo Butler rozumie, że brak pieczęci tamuje czynności urzędowe. Pieczętujemy dokumenty pieczęcią nadworną, powiadają, że to za mało, że to nieważne. I słusznie! Pieczętujemy — wielką, powiadają — za wiele, nieważne, przeciwne prawu. I też mają rację.

Zastukano do drzwi.

Jan Kazimierz z godnością ruszył ku wyjściu. — Konsylium sekretne czeka na mnie.

Złożył sztywny ukłon i wymijając ochmistrzynię, idącą na czele ceremonialnego orszaku ze śniadaniem, udał się do sali Mozaikowej.

D. c. n.

„WIERNA RZEKA"

(z wstępem o żarłoczności telewizji)

Telewizja jest żarłoczna. U naszych — bogatszych w telewizyjne doświadczenia — zachodnich sąsiadów, zdołała w przeciągu niewielu lat swojego istnienia, przełknąć i przetrawić z górą dwutysięczny dorobek europejskiej kultury — wszystko niemal, co dało się dla telewizji zaadaptować, zostało dawno już zaadaptowane i pokazane widzowi.

Jedynym wyjściem z impasu jest pisanie nowych, oryginalnych utworów telewizyjnych — dramatopisarz telewizyjny to postać dobrze już znana na zachodzie Europy; niestety — nie u nas.

My, dopiero ząbkujemy, narzekamy na brak środków materialnych, które pozwoliłyby na tzw. doping (chociaż — tak Bogiem a prawdą — konkurs na sztukę telewizyjną, jaki był swego czasu ogłoszony, nie przyniósł żadnych szczególnych rewelacji), czekamy na ewentualne narodziny geniusza i — adaptujemy, co się tylko da...

W niedzielę, 28 lutego, ośrodek warszawski nadał na przykład telewizyjną adaptację „Rzeczywistości" Jerzego Putramenta — rzecz o tyle naciąganą, o ile naciągane w telewizji jest „głośne myślenie", czy też komentarz mówiony przez narratora. W środę, 2 bm. — Łódzki Ośrodek Telewizyjny zademonstrował nam adaptację „Wiernej rzeki" Stefana Żeromskiego.

★

Specjalne wyróżnienie należy się reżyserowi „Wiernej rzeki" za odważną koncepcję obsadową, a studentce IV r. PWSTiF — **Jolancie Szajnie**, za rolę Salomei.

Ładnie postawiony głos i bardzo słowiańska uroda, to przymioty może i wrodzone, ale dodajmy do tego świeżość, szczerość, niefałszowane wzruszenie i przejmującą prostotę, a otrzymamy dużą, wartą zapamiętania i zanotowania rolę.

★

Była to pozycja bezsprzecznie udana, przygotowana starannie, z dużym nakładem pracy i wyraźną troską o wierność w stosunku do Żeromskiego. Zastrzeżenia — aż straszno użyć tego właśnie sformułowania, ale nie pozostaje nic innego — pryncypialnej natury, może jedynie budzić ilość dokrętek filmowych, które rozwlokły widowisko i osła-

Reżyser Jerzy Antczak

biły jego dynamikę. W ogóle jestem przeciwnikiem dokręcek, a jeżeli już, to wolałbym aby nosiły one charakter uwertury do widowiska, czy wtrętów, jakimi są na przykład songi w sztukach Brechta. Łączenie, stapianie wcześniej realizowanych dokrętek z idącym „na żywo" widowiskiem, wydaje mi się bowiem zabiegiem ryzykownym i przeważnie artystycznie fałszywym.

I gdybym nawet generalnie nie miał racji, to nadal będę się upierał, że ilość dokrętek w wypadku „Wiernej rzeki" śmiało można by zredukować do połowy, z dużym dla widowiska pożytkiem. Partia otwierająca spektakl była rażąco przegadana, sekwencje poświęcone Salomei śpieszącej po lekarza i wstawki z nadjeżdżającymi kozakami — chyba zbędne, finałowa scena, w której opuszczona Salomea rzuca pieniążki do wody, więcej niż zbędna, bo łzawa i denerwująca.

Henryk Jakóbczyk — autor adaptacji i reżyser — **Jerzy Antczak**, w tym jednym, jedynym miejscu dali się uwieść urokom melodramatu; a szkoda — cały spektakl był bowiem z czułostkowości i melodramatyzmu jak najstaranniej oczyszczony.

Konsekwentny, jasny, wyrazisty, utrzymany w dobrym tempie i zwarty dramaturgicznie — stał się spektakl „Wiernej rzeki" poważnym wydarzeniem artystycznym, jednym z wybitniejszych osiągnięć łódzkiego ośrodka. Na uznanie zasługuje wysoki poziom aktorski — duża, precyzyjna rola **Leona Niemczyka** (Odrowąż), dobra robota aktorska **Janusza Kłosińskiego, Feliksa Żukowskiego, Aleksandra Fogla i Edwarda Kamińskiego**, znakomita kreacja **Hanny Małkowskiej** (stara księżna)...

Ta maska, ten głos, to bogactwo już nie tonów, a pół- i ćwierćtonów, pół- i ćwierćuśmiechów, pozwoliły Małkowskiej w kilku ujęciach dokładniej i precyzyjniej obnażyć i osaczyć swoją księżnę, niż uczynił to Żeromski na wielu stronach.

Na szczególne wyróżnienie zasługuje praca operatorów — tak dobrych, czystych i celnie komponujących się w kadrze ujęć nie spotyka się często; wyjątkowo dobrze wypadły precyzyjne zbliżenia i dynamiczne amerykańskie plany.

Dobrze było, prosimy o jeszcze, może nawet o powtórzenia spektaklu. Wówczas wystarczy parę cięć nożycami przy dokrętkach — skądinąd bardzo interesujących — i rzecz będzie znakomita.

J. PANASEWICZ

Leon Niemczyk (Odrowąż)

ŁOT — „Wierna rzeka" Stefana Żeromskiego w adaptacji Henryka Jakóbczyka — reżyseria: Jerzy Antczak — partie filmowe: Wiesław Rutowicz — operatorzy: Ryszard Besler, Zygmunt Lęski, Wojciech Król.

Do łaskawego czytelnika

Uważny czytelnik niewątpliwie wcześniej czy później ze zdziwieniem dostrzeże, że omawiając spektakle, audycje, czy też nawet reportaże telewizyjne, będziemy zawsze zatrzymywać się przy pozycjach odległych w czasie o tydzień, a nawet więcej niż o tydzień. Praktyki takie przeczyć mogą na pozór obyczajności dziennikarskiej, przeto z nieukrywanym zażenowaniem wolimy z góry wyjaśnić, że cykl produkcyjny „Odgłosów" jest — nie z naszej winy oczywiście — niemiłosiernie długi i niniejszą kolumnę musimy montować mniej więcej na tydzień przed ukazaniem się numeru.

Że z drugiej strony trudno nam całkowicie zrezygnować z omawiania celniejszych, bądź też wyjątkowo chybionych audycji telewizyjnych — prosimy o wybaczenie i nastawienie się na to, że nasze uwagi czy też impresje, docierać będą do twoich, łaskawy czytelniku, rąk — z poważnym opóźnieniem.

REQUIEM DLA „POSTACI TELEWIZYJNYCH"

Mniej więcej rok temu Telewizja — Łódź wspólnie z „Expressem Ilustrowanym" ogłosiła konkurs na „postać telewizyjną" chodziło wówczas o wynalezienie autorów i wykonawców tekstów w jednej osobie, ludzi którzy potrafiliby zdobyć po pewnym czasie kredyt i popularność u telewizyjnego widza i w rezultacie rozmawiać z tym widzem na wszelkie niemalże tematy.

Konkurs cieszył się dużym powodzeniem, zgromadził „na starcie" przedstawicieli wszystkich niemalże zawodów i warstw społecznych, ale — widać to dopiero z perspektywy czasu — zakończył się zupełną klapą.

Laureatka konkursu — **Basia Chołodzińska** — która z wdziękiem i ogromną ekspresją opowiadała ułożone przez siebie bajki, w ogóle (jeżeli się tylko nie mylimy) nie wystąpiła więcej przed kamerą telewizyjną. Zdobywcy dalszych nagród wzięli kilkakrotnie udział w „Bazarach" reżyserowanych przez Kazimierza Oracza, ale raczej bez większego sukcesu: jedynie para zawodowych aktorów, a zarazem autorów telewizyjnego „Baedeckera łódzkiego" — **Jerzy Ćwikliński** i **Antoni Lewek** — zapisała na swoim koncie kilka udanych występów.

Że sytuacja wygląda podobnie nie tylko w Łodzi, ale i w ogóle w Polsce, świadczyć mogą wyniki błyskawicznej ankiety, którą przeprowadziliśmy metodą niezbyt może naukową, ale za to prostą, bo wśród znajomych. Zapytani, kogo mianowicie znają z ekranu telewizyjnego i mogliby wymienić z nazwiska czy też z imienia, znajomi nasi mówili bardzo szybko: Dziedzicówna, Wicherek — chwilę się zastanawiali, z rozpromienionym obliczem dodawali: Edytka[1]), po czym zaczynali cukać się na całego.

Wynikałoby z tego, że znalezienie jednej i drugiej „postaci telewizyjnej" jest nadal sprawą najzupełniej otwartą i — jak się wydaje — warta zachodu. Inna już rzecz, że niezbyt osobiście wierzymy we wszelkiego rodzaju konkursy i przeglądy; w większości wypadków okazują się one wesołą, ale bezpłodną zabawą.

1) śliczna blond-speakerka telewizji warszawskiej

PROPONUJEMY OBEJRZEĆ

W piątek 11 bm. o godz. 19.00 retransmisję **„HAMLETA"** Szekspira z Teatru Powszechnego w Warszawie. Ten wyreżyserowany przez **Irenę Babel** spektakl, wywołał bezpośrednio po premierze dużo wrzawy — zdania były podzielone, szczególnie jeżeli chodzi o skrótową, na pewno nietradycyjną scenografię. W roli tytułowej zobaczymy wybitnego aktora, a zarazem kierownika artystycznego Telewizji, — **Adama Hanuszkiewicza.** ■

W poniedziałek 14 bm. o godz. 20.20 dramat w/g Tomasza Manna **„MARIO I CZARODZIEJE"** w adaptacji telewizyjnej **Jana Wilczka** i reżyserii **Stanisława Wohla**. W spektaklu weźmie udział długi szereg znakomitych aktorów z **Gustawem Holoubkiem, Janem Kreczmarem i Władysławem Krasnowieckim** na czele. ■

UWAGA: przed włączeniem telewizora, prosimy sprawdzić dokładne godziny rozpoczęcia audycji. Z przyczyn wyłożonych wyżej, jesteśmy zdani jedynie na projekt, a nie na ostateczną wersję programu.

Telewizja

BESTSELLERY MIESIĄCA

Bez wątpienia najpopularniejszą w naszym mieście księgarnią jest, obok Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki, księgarnia „PEGAZ". Dlatego też uznaliśmy, że miarą popularności książki jest ilość sprzedanych w „Pegazie" egzemplarzy.

Lista bestsellerów za miesiąc luty wygląda dość niecodziennie. A więc obok „Dymku z papierosa" (wspomnienia z kabaretów okresu międzywojennego) znajdujemy na niej „Mowy wybrane" Cycerona. Obie te pozycje idą jak woda i księgarnia musi co parę dni uzupełniać swoje zasoby.

Poza tym niezwykłą popularnością cieszy się (chyba w związku z Tysiącleciem) „Mały słownik historii Polski". Na czwartym miejscu znajduje się „Przemiana" anty-powieść francuskiego pisarza Michel Butora.

KTO NASTĘPNY?

Kabarety stały się ostatnio bardzo modne. Gdyby chcieć podać dokładną liczbę wszystkich działających na terenie Łodzi scenek, nadscenek itp. z pewnością sięgałaby ona setki.

Ostatnio dowiedzieliśmy się, że o kabarecie literackim myślą w Domu Kultury Nauczyciela. Powstaje również kabaret w Międzyzakładowym Domu Kultury na Przędzalnianej. W związku z tym rzucamy hasło: „Kabaret w każdym domu".

W UBIEGŁYM ROKU PISALIŚMY

W ubiegłym roku „Odgłosy" pisały, że w magazynach Centralnego Biura Wystaw Artystycznych znajdują się w depozycie setki obrazów łódzkich plastyków, które zostały zakupione przez Ministerstwo Kultury i Sztuki na przestrzeni kilku ostatnich lat. Miło nam donieść, że w tych dniach pracownicy CBWA zakończyli akcję przekazywania owych „depozytów" łódzkim instytucjom i zakładom pracy.

Ze źródeł prywatnych wiemy, że w magazynach pozostało jeszcze kilka obrazów abstrakcyjnych na które dotychczas nie było amatorów. A może CBWA przekaże je w depozyt którejś z redakcji? Na przykład „Odgłosom".

DOBRE POMYSŁY

Łódzki Oddział Polskiego Towarzystwa Socjologicznego wpadł na pomysł, który śmiało nazwać można pomysłem kapitalnym. Co jakiś czas odbywać się będą w Zakładzie Socjologii otwarte, publiczne posiedzenia. Już pierwsze takie posiedzenie było gratką nie lada. Profesor dr Jan Szczepański mówił o problemach intelektualistów w nowoczesnym społeczeństwie.

Pierwsze zebranie poza nami. Radzimy więc uważnie śledzić w prasie rubrykę informacji.

★

Na świetny pomysł wpadło również Centralne Biuro Wystaw Artystycznych. Otóż przez trzy dni w tygodniu (wtorek, czwartek, sobota) w Ośrodku Propagandy Sztuki w Parku Sienkiewicza pracownicy Łódzkiego Muzeum Sztuki udzielać będą wyjaśnień na aktualne, związane z wystawą pytania.

Już zawczasu podziwiamy bohaterów, którzy na wystawie abstrakcjonistów zgodzą się odpierać ataki pytających.

★

Jak podała prasa zespół „Start" zamierza zrealizować film według książki jednego z redaktorów „Odgłosów" Zbigniewa Nienackiego. Powieść to nosi tytuł „Worek judaszów" i opowiada o czasach wkrótce po Wyzwoleniu, gdy na terenie naszego województwa toczyła się zacięta walka z podziemiem o utrzymanie jeszcze młodej wówczas Władzy Ludowej. Akcja powieści rozgrywa się w miasteczku R. które nie trudno rozszyfrować jako Radomsko. Prawie wszystkie szczegóły w powieści oparł autor na dokumentach.

Korespondencja

Szanowny Panie Redaktorze!

„ODGŁOSY" jak sami zaznaczacie w tytule są tygodnikiem łódzkim, a wiemy, że Łódź jest miastem robotniczym i spośród robotników rekrutuje się duża ilość czytelników Waszego pisma.

Po przeczytaniu felietonu p. Waleńczyka pt. „Poeta psychiki zatomizowanej" („Odgłosy" nr 7 (163) zastanawiałem się, dlaczego współczesna pezja nie znajduje uznania w oczach robotników. Doszedłem do wniosku, że dzieje się w głównej mierze dlatego, iż nikt nie potrafi robotników zainteresować nową poezją. A myślę, że recenzenci i felietoniści predestynowani są do tego.

Czy naprawdę poezja współczesna jest tylko dla nielicznego grona jej konsumentów?

Czy wg. p. Waleńczyka — którego notabene posądzam o kompleks wyższości — przeciętny śmiertelnik nie jest w stanie rozumieć poezji?

Myślę, że jest inaczej. Ale rozpatrzmy rzecz kompromisowo. Wiem, że wielu poetow pisze niezrozumiale np. p. Łoboda, lecz nie mogą zgodzić się z tym, że p. Waleńczyk nie tylko nie próbuje zainteresować czytelników poezją, ale można twierdzić — nawet odstręcza ich od tego.

Po p. Waleńczyku autorze poezji „Wino półsłodkie", „Blaszany kogut" czy też niewydanej powieści — „Dobranoc Maryla, dobranoc" można się było spodziewać innego stanowiska i trzeba mieć naprawdę bujną wyobraźnię, by sądzić, że w ten sposób trafia się do czytelników.

Z poważaniem W. S.
(nazwisko i adres znane red.)

Droga Redakcjo!

Piszemy do Was z głębi puszczy znajdującej się w obrębie Wielkiej Łodzi. Zwracamy się do Ciebie droga redakcjo, abyś napisała o naszych bolączkach w swoim piśmie. Może ktoś zainteresuje się wtedy nami. Posiadamy własną świetlicę, która nie jest dobrze wykorzystana z tego powodu, że nic prócz starego radia w niej się nie znajduje. Obok świetlicy mamy lokal, w którym mieści się biblioteka. Książki dostaliśmy w grudniu 1959 r. z Biblioteki im. L. Waryńskiego. Jesteśmy za to bardzo wdzięczni. Dzień 17. III. 60 r. jest dla nas ważną datą, bo odbył się u nas po raz pierwszy odczyt. Świetlica nasza jest jedynym obiektem kulturalnym w całym naszym osiedlu. Nasze osiedle — koniec dzielnicy Bałut liczy ponad 3.000 mieszkańców. Od najbliższego przystanku tramwajowego dzieli nas 30 minut drogi pieszo czyli około 3 km. Po przyjściu z pracy nie mamy gdzie pójść jak tylko do świetlicy przy O.S.P. Żabieniec. I naszym marzeniem jest telewizor.

Droga redakcjo! Może za Twoim pośrednictwem Wydział Kultury dowie się, że w obrębie Wielkiej Łodzi znajduje się puszcza, z której słychać nasze wołanie.

Nasz adres: Łódź, ul. Liściasta 78, OSP Żabieniec, oddział 16, nr tel. 541-97.

Następuje 26 podpisów poświadczonych przez przewodniczącego Komitetu Osiedlowego Pabijanki ob. Jana Zalesińskiego.

Od redakcji:

Drukując powyższy list redakcja solidaryzuje się z apelem pod adresem Wydziału Kultury Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi. Co do telewizora redakcja zwraca uwagę, że nikt go mieszkańcom siedla nie może darować, natomiast mieszkańcy mogliby go zakupić wspólnymi środkami. Na tę możliwość wskazywaliśmy już parokrotnie. Apel pod adresem autorów listu: nie czekajcie aż się ktoś nad Wami zlituje.

— *Zdaje się, że Wesselman wynalazł tym razem coś naprawdę rewelacyjnego.*

Najostrzejsze ołówki świata

CH. ADDAMS

i

współczesna cywilizacja

Charles Addams, znakomity amerykański rysownik, twórca „czarnego humoru" — ma się rozejść z żoną. Nie byłoby w tym nic godnego uwagi, gdyby nie fakt, że jednocześnie zakończyła swój żywot „Straszna rodzina" — cykl rysunków o ponurym domu, w którym mieszka kilku przedziwnych, okrutnych osobników. Oto pani Addams oświadczyła w skardze rozwodowej, że ma dość portretowania jej we wspomnianej serii żartów w roli przerażającej gospodyni...

Chcąc nie chcąc (za zniesławienie płaci się w USA bardzo słono) — musiał Addams sięgnąć do innych tematów. I znalazł je — w kręgu zagadnień współczesnej techniki i cywilizacji.

Przekształcona anegdota nie zmieniła jednak ogólnego charakteru dowcipów Addamsa. Pozostał nadal niedościgłym mistrzem w wymyślaniu sytuacji, które oby się nikomu nie przyśniły. Sytuacji tak niezwykłych, absurdalnie ponurych — że mogą w ostatecznym efekcie już tylko śmieszyć.

Ale jednocześnie do tych rysunków wkradł się niespodziewany ton: sceptycznej zadumy nad rozwojem nowoczesnej techniki — do czego może prowadzić niebywały rozwój ludzkiej wynalazczości.

Te niepokoje są zresztą dość typowe dla artystów Zachodu, gdzie postęp techniczny nie zawsze służy człowiekowi...

J-ert

— *To bardzo mądry chłopiec. Konstruuje urządzenie, którym chce wysłać na Księżyc swoją siostrzyczkę.*

— *Pięknie, ale co dalej?*

Redaguje Zespół * Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" * Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 98. Tel. 244-79. * Warunki prenumeraty: miesięcznie 4.— zł, kwartalnie 12.— zł. * Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk RSW „Prasa" Łódź, Żwirki 17 z. 721. III. 60 r. B-4

Informacje

W prasie codziennej pojawiły się wzmianki na temat używania tzw. „migowych" świateł kierunkowskazów samochodowych. Wzmianki te wywołały różne komentarze.

Nie od rzeczy więc będzie wyjaśnić, jakich kierunkowskazów wolno używać pojazdom, poruszającym się po drogach publicznych. Otóż, Ministerstwo Komunikacji w grudniu ub. r. wyjaśniło autorytatywnie iż do czasu wydania nowych przepisów regulujących ruch pojazdów mechanicznych na drogach publicznych, kierunkowskazy samochodów winny być:

1) ramieniowe, umieszczone na bokach pojazdu,
2) migające, nieruchomo umieszczone na ścianach bocznych samochodów osobowych, pod warunkiem, że są one widoczne z przodu i z tyłu. Powinny być one koloru pomarańczowego lub żółtego (bursztynowego),
3) migające nieruchome umieszczone symetrycznie po dwa z przodu oraz z tyłu pojazdu i ewentualnie dodatkowe z boku. Światła umieszczone z przodu winny być bezbarwne (białe) lub pomarańczowe (żółtobursztynowe). Światła umieszczone z tyłu powinny być czerwone lub pomarańczowe (żółtobursztynowe).

Światła umieszczone dodatkowo z boku powinny być pomarańczowe (żółtobursztynowe).

Z kierunkowskazami umieszczonymi na ścianach bocznych nie mogą być połączone żadne inne światła **palące się stale podczas jazdy**. Przednie światła pozycyjne (tzw. miejskie) nie mogą być inne, niż bezbarwne (białe).

Warto, aby właściciele i posiadacze pojazdów mechanicznych sprawdzili kierunkowskazy u swych wozów gdyż Milicja Obywatelska otrzymała polecenie eliminowania z ruchu samochodów, posiadających niewłaściwe kierunkowskazy, jako zagrażających ruchowi publicznemu.

Warto się zastanowić

nad ułatwieniem życia posiadaczom samochodów, którzy zmuszeni są wozy swoje częściowo lakierować.

Drobne awarie, na które narażone są samochody codziennie, szczególnie w mieście o tak wąskich i ruchliwych ulicach jak Łódź, dają się posiadaczom pojazdów szczególnie we znaki wtedy, gdy nie można dobrać odpowiedniego koloru lakieru. Jakże często daje się widzieć na ulicy elegancki wóz, z plamą w innym odcieniu na nadwoziu. Oho, zły lakiernik — mówimy. Może i słusznie. Nie wszystkie jednak lakiery dają się dobrać kolorem i odcieniem i wówczas właściciel wozu staje przed alternatywą: albo jeździć z plamą w innym odcieniu, albo poddać kosztownym zabiegom polerowania cały wóz.

Nowe samochody mają wprawdzie puszkę zapasowego lakieru, ale — szczególnie przy wozach krajowych — i ten potrafi być w innym odcieniu, niż lakier nadwozia.

Warto się więc zastanowić, czy nie wprowadzić do obrotu towarowego lakierów samochodowych z numeracją kolorów, podobnie jak to ma miejsce za granicą. Lakier nadwozia oznaczony numerem w książce gwarancyjnej dałby możność sprawdzenia czy puszka zapasowego lakieru jest właściwa przez porównanie numeru koloru.

„PIĘKNA MŁYNARKA"

Włosi nie mają ostatnio szczęścia do komedii filmowych (podobnie zresztą jak i my). Po nudnych i mało śmiesznych „Ostatnich pięciu minutach", których nie uratowało nawet aktorstwo Vittorio de Sici — „Piękna młynarka" sprawia jednak miłą niespodziankę. W poprawnej reżyserii Mario Cameriniego efektowny biust Sofii Loren nie przesłonił wartko prowadzonej opowieści. Popularna rywalka Lollobrigidy pozostała jednak głównym wabikiem, który przyciąga do siebie bohaterów filmu, a publiczność do kasy.

Oczywiście, przesadą byłoby upatrywać w roli pięknej Marceli wielką kreację, niemniej stwierdzić trzeba, że Sofia Loren poza zewnętrznymi „cielesnymi" walorami, pokazuje tu zupełnie przyzwoite aktorstwo. Dzięki niej i Vittorio de Sice mało zwarta fabuła jest jako tako strawna. Vittorio de Sica w długiej peruce, szlafmycy i nocnej koszuli potrafi zabawić najbardziej chyba ponurego widza, tym bardziej że do towarzystwa ma jeszcze tej miary aktora, co Paulo Stoppa.

Cała historia o pięknej młynarce i gubernatorze przyprawiona jest miłą piosenką i podana w kolorze na szerokim ekranie.

Dla przyszłych widzów „Pięknej młynarki" reprodukujemy powyżej fotos wystarczająco zachęcający do obejrzenia tej nieskomplikowanej komedio-farsy.

A. N.

ŁÓDZCY aktorzy FILMOWI

Emil Karewicz

— Jest Pan aktorem, który ma w swym dorobku pokaźną ilość ról filmowych. Pamiętam Pańskie kreacje między innymi w „Cieniu", „Karierze Nikodema Dyzmy", „Kanale", „Skarbie kapitana Martensa", „Spotkaniach" „Ostatnim strzale", „Bazie ludzi umarłych". Czy „Cień" był Pana debiutem?

— Nie, ale dopiero w tym filmie zauważyła mnie publiczność i krytyka. Można by to określić, że właśnie w „Cieniu" „odkryty" zostałem przez reżysera Jerzego Kawalerowicza. Już jednak wcześniej stawałem przed kamerą — w „Warszawskiej premierze", a następnie w „Młodości Szopena" i „Podhalu w ogniu". Były to jednak filmy, w których mój udział ograniczył się do drobnych epizodów.

Kiedyś postanowiłem obliczyć w ilu filmach wystąpiłem. Otóż ni mniej ni więcej doliczyłem się osiemnastu pozycji filmowych.

— To rzeczywiście sporo. Zdaje się — były to w większości role „czarnych charakterów"...

— Rzeczywiście, do pewnego momentu powierzano mi właśnie tego typu role. Nie znaczy to jednak, że wszystkie moje kreacje filmowe należy tak zaszufladkować. W „Ostatnim strzale" „Bazie ludzi umarłych" odtwarzane przeze mnie postacie nie były „czarnymi", były złożone, o różnorodnym rysunku psychologicznym.

— W jakich nowych filmach ujrzymy Pana w najbliższym czasie?

— Ukończyłem prace nad jedną z ról w filmie Wandy Jakubowskiej „Spotkania w mroku". W lipcu zaś odbędzie się premiera głośnych już „Krzyżaków" Aleksandra Forda, gdzie odtwarzam postać króla Władysława Jagiełły.

— Czy szykuje się Panu jakaś nowa rola filmowa?

— W najbliższym czasie najprawdopodobniej grać będę w „Historii współczesnej", reżyserii Wandy Jakubowskiej wg scenariusza Jerzego Stefana Stawińskiego. Tematem filmu jest sprawa kradzieży metanolu w zakładach chemicznych.

— Oprócz filmu stale grywa Pan od roku 1950 w Teatrze im. Stefana Jaracza. W jakiej sztuce obecnie Pan próbuje?

— Mam próby nad sztuką Artura Millera „Widok z mostu". Powierzono mi interesującą rolę dokera.

— Terminy realizacji zdjęć w filmie często są przeszkodą w pracy w teatrze. Jak Pan sobie radzi z tym problemem?

— Dyrekcja mojego macierzystego teatru idzie mi w tych sprawach bardzo „na rękę". Do tej pory nie napotkałem na jakieś poważniejsze przeszkody w pogodzeniu mojej pracy w teatrze z realizacją filmów.

— Na zakończenie naszej rozmowy jeszcze jedno pytanie. Co Pana pasjonuje w wolnych chwilach?

— To co większość ludzi — motoryzacja. Mam popularny samochód „P-70". Innym „konikiem" jest fotografika, zaś w lecie dochodzi jeszcze rybołówstwo.

Rozmawiał
A. NIEŚMIAŁEK

Rozmowy z zespołami: „ILUZJON"

Kierownika artystycznego „Iluzjonu" Ludwika Starskiego, proszę najpierw o przypomnienie czytelnikom tytułów filmów, które dotychczas w jego zespole zrealizowano.

— Między innymi — mówi p. Starski—Zrobiliśmy popularną komedię „Zadzwońcie do mojej żony", „Pętlę" Hasa, „Zamach" i „Sygnały" Pasendorfera, oraz ostatnio — adaptację astronautycznej powieści Lema „Milczącą gwiazdę" w reżyserii Kurta Maetziga.

— Co w tej chwili zespół ma na warsztacie?

— „Powrót" na podstawie powieści Romana Bratnego „Szczęśliwi torturowani", reżyseruje Jerzy Pasendorfer, w rolach głównych — Andrzej Łapicki i Maria Ciesielska.

— A jakie są plany zespołu?

— Te najbliższe, to właściwie skierowany już do produkcji film według znanej książki Kwiatkowskiego — „Siedem grzechów głównych".

Wspólnie z Niemiecką Republiką Federalną realizować będziemy film o znanych wypadkach gliwickich w 1939 roku. Scenariusz piszę wspólnie ze Skowrońskim. Reżyserować będzie jako osoba neutralna jakiś Amerykanin, kto — jeszcze nie wiemy. Poza tym zamierzamy sfilmować rewelacyjne pamiętniki Dawidka. Reżyserię obejmie Aleksander Ford.

Rozmawiał T. Z.

EKRANIK

MICKEY ROONEY — popularny odtwórca ról młodych chłopców przed 25 laty — ożenił się ostatnio po raz piąty. Pierwszą jego żoną była Ad Gardner, ślub odbył się w roku 1942. Po dwóch latach — nowe małżeństwo z Betty Jane Pankey. Ronney miał z nią dwoje dzieci, rozszedł się po trzech latach. W 1949 r. — kolejny ślub z Martą Vickers. Miał jedno dziecko, po dwóch latach nastąpił rozwód. Najdłużej — bo aż 7 lat był żonaty Rooney z Heleną Mankhen. I wreszcie, ostatnio — nową żoną „rekordzisty" została Barbara Thomason (na zdjęciu obok).

DOSTOJEWSKI NA EKRANIE ciągle modny! Po niezbyt udanej włoskiej wersji „Białych nocy", reżyserii Luchino Viscontiego, ten sam temat podjął radziecki reżyser Iwan Pyriew. Pyriew zaczął się niejako specjalizować w adaptacjach wielkiego klasyka literatury rosyjskiej, ostatnio oglądaliśmy w jego realizacji film „Idiota".

REWELACYJNIE ZAPOWIADA SIĘ nowy film Michała Kalatozowa „Niewysłany list". Większość krytyków moskiewskich jest zdania, że kreacja Samojłowej, reżyseria Kołatozowa i zdjęcia Urussiewiskiego przewyższają ich osiągnięcia ze słynnego już filmu „Lecą żurawie". Jedyny zarzut, jaki się stawia w stosunku do „Niewysłanego listu" —to pesymizm scenariusza. Ciekawe — kiedy się doczekamy polskiej premiery tego filmu?

ZAKUPILIŚMY dwa bardzo interesujące filmy japońskie: „Siedmiu samurajów" Akiro Kurosawy (nagroda „Srebrnego Lwa" w Wenecji, w r. 1955), oraz tego samego reżysera „Tron we krwi" — wolna adaptacja szekspirowskiego „Makbeta". Akiro Kurosawa został uznany za najwybitniejszego twórcę we współczesnej kinematografii japońskiej, reżysera tak reprezentatywnego, jakim jest np. dla Szwecji —Bergman.

DONALD

MICKEY ROONEY ze swoją „najnowszą" żoną, Barbarą Thomason (patrz tekst w „Ekraniku").

W jednym filmie — cała Wieża Babel! Francuz Peter van Eyck w roli amerykańskiego miliardera, oraz aktorka węgierska Nicole Badal — grają wspólnie w filmie „Labirynt", realizowanym w NRF.

GILIAN HILLS — wschodząca gwiazda filmu angielskiego.